3 1761 088223326

H. Sienkiewicz

PISMA

Digitized by the Internet Archive
in 2011 with funding from
University of Toronto

http://www.archive.org/details/pismahenrykasien52sien

PISMA HENRYKA SIENKIEWICZA

TOM LII

Warszawa Druk Piotra Laskauera i S-ki.

S 5724

Pisma
Henryka Sienkiewicza

TOM LII

KRZYŻACY

CZĘŚĆ IV

Zofia Cybulska

486110

17.2.49

WARSZAWA
NAKŁAD REDAKCYI TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO
(DODATEK BEZPŁATNY)
1903

Дозволено Цензурою.
Варшава, 21 Ноября 1902 г.

KRZYŻACY

CZĘŚC CZWARTA

XXII.

Jednakże przed wyruszeniem do Szczytna czterej bracia i de Fourcy przyszli jeszcze pożegnać się z księciem i księżną. Było to pożegnanie niezbyt przyjazne, wszelako książę, nie chcąc, wedle starego polskiego obyczaju, wypuszczać gości z domu z próżnemi rękoma, podarował każdemu z braci piękny błam kuni i po grzywnie srebra, oni zaś przyjęli z radością, zapewniając, że jako zakonnicy, zaprzysiężeni na ubóstwo, nie zatrzymają tych pieniędzy dla siebie, ale rozdadzą je ubogim, którym zarazem polecą się modlić za zdrowie, sławę i przyszłe zbawienie księcia. Uśmiechali się pod wąsem z tych zapewnień Mazurowie, albowiem dobrze znana im była chciwość zakonna, a jeszcze lepiej kłamstwa Krzyżaków. Powtarzano na Mazowszu, że «jako tchórz cuchnie, tak Krzyżak łże». Książę też jeno machnął ręką na podobną podziękę, a po ich wyjściu rzekł, iż rakiem

chyba pojechałby do nieba za przyczyną modlitw krzyżackich.

Lecz przedtem jeszcze, przy pożegnaniu się z księżną, w chwili, gdy Zygfryd de Löwe całował jej rękę, Hugo von Danveld zbliżył się do Danusi, położył dłoń na jej głowie i głaszcząc ją, rzekł:

— Nam przykazano dobrem za złe płacić i miłować nawet nieprzyjaciół naszych, więc przyjedzie tu siostra zakonna i przywiezie wam, panienko, gojący balsam hercyński.

— Jako-że mam wam podziękować, panie? — odpowiedziała Danusia.

— Bądźcie przyjaciółką Zakonu i zakonników.

Zauważył tę rozmowę de Fourcy, a że uderzyła go przytem uroda dziewczyny, więc gdy już ruszyli ku Szczytnu, zapytał:

— Co to za piękna dworka, z którą rozmawialiście na odjazdnem?

— Córka Juranda! — odpowiedział Krzyżak.

A pan de Fourcy zdziwił się:

— Ta, którą macie pochwycić?

— Ta. A gdy ją pochwycim, Jurand nasz.

— Nie wszystko widać złe, co od Juranda pochodzi. Warto być stróżem takiego jeńca.

— Myślicie, że łatwiejby było wojować z nią, niż z Jurandem?

— To znaczy, że myślę tak samo, jak i wy. Ojciec — wróg Zakonu, a do córki mówiliście miodem smarowane słowa i w dodatku obiecaliście jej balsam.

Hugo de Danveld uczuł widocznie potrzebę usprawiedliwienia się kilkoma słowy.

— Obiecałem jej balsam — rzekł — dla tego młodego rycerza, który od tura pobit i z którym, jak wiecie, jest zmówiona. Jeśli podniosą krzyk po pochwyceniu dziewki, powiemy, żeśmy nietylko nie chcieli jej krzywdy, aleśmy jej jeszcze leki przez chrześcijańskie miłosierdzie posyłali.

— Dobrze — rzekł de Löwe. — Trzeba jeno posłać kogoś pewnego.

— Poślę jedną pobożną niewiastę, całkiem Zakonowi oddaną. Przykażę jej patrzyć i słuchać. Gdy ludzie nasi niby od Juranda przybędą, znajdą gotowe porozumienie...

— Takich ludzi trudno będzie dobrać.

— Nie. Naród u nas mówi tym samym językiem. Są też w mieście, ba! nawet między knechtami w załodze, ludzie, którzy prawem ścigani z Mazowsza zbiegli, zbóje, złodzieje — prawda, ale żadnej trwogi nie znający i na wszystko gotowi. Tym obiecnę: jeśli wskórają — wielkie nagrody, jeśli nie wskórają — powróz.

— Ba! a nuż zdradzą?

— Nie zdradzą, bo na Mazowszu każdy dawno na łamanie kołem zarobił i nad każdym wyrok cięży. Trzeba im tylko dać ochędożne szaty, aby ich za prawych Jurandowych pachołków poczytano — i główna rzecz: list z pieczęcią od Juranda.

— Należy wszystko przewidzieć — rzekł brat Rotgier. — Jurand po ostatniej bitwie zechce może zobaczyć księcia, aby się na nas poskarżyć, a siebie usprawiedliwić. Będąc w Ciechanowie, zajedzie do córki, do leśnego dworca. Może się tedy przygodzić, że nasi ludzie, przybywszy po Jurandównę, natkną się na samego Juranda.

— Ci ludzie, których wybiorę, są szelmy kute na cztery nogi. Będą oni wiedzieć, że jeśli się natkną na Juranda, pójdą na haki. Ich głowa w tem, żeby się nie spotkali.

— Jednak może się zdarzyć, że ich pochwycą.

— Tedy wyprzemy się i ich i listu. Kto nam dowiedzie, że to myśmy ich wysłali? Wreszcie: nie będzie porwania, nie będzie krzyku, a że kilku wisielców Mazury poćwiertują, nie stanie się przez to szkoda dla Zakonu.

A brat Gotfryd, najmłodszy między zakonnikami, rzekł:

— Nie rozumiem tej waszej polityki, ani tej waszej bojaźni, aby się nie wydało, że dziewka

z naszego nakazu porwana. Mając ją raz w ręku, musimy przecie posłać kogoś do Juranda i powiedzieć mu: «Twoja córka jest u nas; chcesz li, by odzyskała wolność, oddaj za nią de Bregowa i siebie samego...» Jakże inaczej?... Ale wtedy będzie wiadomo, że to my nakazaliśmy dziewczynę pochwycić.

— Prawda! — rzekł pan de Fourcy, któremu niezbyt przypadła do smaku cała sprawa. — Po co ukrywać to, co musi się wydać?

A Hugo de Danveld począł się śmiać i zwróciwszy się do brata Gotfryda, zapytał:

— Jak dawno nosicie biały płaszcz?

— Skończy się sześć lat na pierwszą niedzielę po Świętej Trójcy.

— Jak go przenosicie jeszcze sześć, będziecie lepiej rozumieli sprawy zakonne. Jurand zna nas lepiej, niż wy. Powie mu się tak: «Twojej córki pilnuje brat Szomberg i jeśli słowo piśniesz — to wspomnij na dzieci Witolda...»

— A później?

— Później de Bregow będzie wolny, a Zakon będzie także uwolnion od Juranda.

— Nie! — zawołał brat Rotgier — wszystko jest tak rozumnie pomyślane, że Bóg powinien pobłogosławić naszemu przedsięwzięciu.

— Bóg błogosławi wszelkim uczynkom, ma-

jącym na celu dobro Zakonu — rzekł posępny Zygfryd de Löwe.

I jechali dalej w milczeniu, a przed nimi na dwa lub trzy strzelenia z kuszy szły ich poczty, aby torować drogę, która stała się kopna, albowiem w nocy spadł śnieg obfity. Na drzewach leżała bogata okiść, dzień był chmurny, ale ciepły, tak, że z koni podnosił się opar. Z lasów ku ludzkim siedliskom leciały stada wron, napełniając powietrze posępnem krakaniem.

Pan de Fourcy pozostał nieco za Krzyżakami i jechał w głębokiem zamyśleniu. Był on od kilku lat gościem Zakonu, brał udział w wyprawach na Żmujdź, gdzie odznaczał się wielkiem męstwem i podejmowany wszędy tak, jak tylko Krzyżacy umieli podejmować rycerzy z dalekich stron, przywiązał się do nich mocno, a nie mając własnej fortuny, zamierzał wstąpić w ich szeregi. Tymczasem to przesiadywał w Malborgu, to odwiedzał znajome komandorye, szukając w podróżach rozrywki i przygód. Przybywszy świeżo do Lubawy wraz z bogatym de Bregowem i zasłyszawszy o Jurandzie, począł płonąć żądzą zmierzenia się z mężem, którego otaczała groza powszechna. Przybycie Majnegera, który ze wszystkich walk wychodził zwycięzcą, przyspieszyło wyprawę. Kom-

tur z Lubawy dał na nią ludzi, naopowiadał jednak tyle trzem rycerzom nietylko o okrucieństwie, ale o podstępach i wiarołomstwie Juranda, iż gdy ów zażądał, by odprawili żołnierzy, nie chcieli się na to zgodzić, bojąc się, że gdy to uczynią, otoczy ich, wytraci, lub wtrąci do piwnic spychowskich. Wówczas Jurand, mniemając, że chodzi im nietylko o walkę rycerską, ale i o grabież, uderzył na nich wstępnym bojem i zadał im klęskę okrutną. De Fourcy widział Bregowa obalonego wraz z koniem, widział Majnegera z odłamem włóczni w brzuchu, widział ludzi, próżno błagających o litość. Sam ledwo zdołał się przebić i kilka dni tułał się po drogach i lasach, gdzie byłby zmarł z głodu lub stał się łupem dzikiego zwierza, gdyby przypadkiem nie dostał się do Ciechanowa, w którym znalazł braci Gotfryda i Rotgiera. Z całej wyprawy wyniósł uczucie upokorzenia, wstydu, nienawiści, zemsty i żalu za Bregowem, który był mu blizkim przyjacielem. To też z całej duszy przyłączył się do skargi zakonnych rycerzy, gdy domagali się kary i wolności dla nieszczęsnego towarzysza, a gdy ta skarga pozostała bezowocną, w pierwszej chwili gotów był zgodzić się na wszystkie środki, które wiodły do zemsty nad Jurandem. Teraz jednak ozwały się w nim nagle

skrupuły. Przysłuchując się rozmowom zakonników, a zwłaszcza temu, co mówił Hugo de Danveld, niejednokrotnie nie mógł oprzeć się zdziwieniu. Poznawszy bliżej w ciągu kilku lat Krzyżaków, widział już wprawdzie, że nie są oni tacy, za jakich przedstawiają ich w Niemczech i na Zachodzie. W Malborgu poznał jednakże kilku prawych i surowych rycerzy: ci, sami często rozwodzili skargi nad zepsuciem braci, nad ich rozpustą, brakiem karności — i de Fourcy czuł, że mają słuszność, ale sam będąc rozpustnym i niekarnym, nie brał zbyt za złe innym tych wad, zwłaszcza, że wszyscy rycerze zakonni nagradzali je męstwem. Widział ich przecie pod Wilnem, uderzających piersią o pierś polskich rycerzy, przy zdobywaniu zamków, bronionych z nadludzką uporczywością przez posiłkowe załogi polskie, widział ich ginących pod ciosami toporów i mieczów, w szturmach ogólnych lub w pojedyńczych walkach. Byli nieubłagani i okrutni dla Litwy, ale byli zarazem, jako lwy — i chodzili w chwale, jak w słońcu. Teraz jednak wydało się panu de Fourcy, że Hugo de Danveld mówi takie rzeczy i podaje takie sposoby, na które wzdrygnąć się powinna dusza w każdym rycerzu, a zaś inni bracia nie tylko nie powstają na niego w gniewie, ale przytakują każdemu jego słowu. Więc

zdziwienie ogarniało go coraz większe i wreszcie zadumał się głęboko, czy mu przystoi do takich uczynków rękę przykładać.

Gdyby bowiem chodziło tylko o porwanie dziewczyny, a następnie o wymienienie jej za Bregowa, byłby się może na to zgodził, chociaż poruszyła go i ujęła za serce uroda Danusi. Gdyby przyszło mu być jej stróżem, nie miałby także nic przeciwko temu, a nawet nie był pewien, czyby z rąk jego wyszła taką, jaką w nie wpadła. Ale Krzyżakom szło widocznie o co innego. Oni przez nią chcieli dostać wraz z Bregowem i samego Juranda, obiecać mu, że ją wypuszczą, jeśli się za nią odda, a potem zamordować go, a z nim razem dla ukrycia oszustwa i zbrodni zapewne i dziewczynę. Wszakże już grozili jej losem dzieci Witoldowych na wypadek, gdyby Jurand śmiał się skarżyć. «Niczego nie chcą dotrzymać, oboje oszukać i oboje zgładzić — rzekł sobie de Fourcy; — a przecież krzyż noszą i czci więcej od innych przestrzegać winni». — I burzyła się w nim dusza co chwila mocniej na taką bezczelność, ale postanowił jeszcze sprawdzić, o ile jego podejrzenia są słuszne, więc podjechał znów do Danvelda i zapytał:

— A jeśli Jurand się wam odda, czy wypuścicie dziewkę?

— Gdybyśmy ją wypuścili, cały świat wnetby wiedział, że to my chwyciliśmy oboje — odrzekł Danveld.

— Ba, cóż z nią uczynicie?

Na to Danveld pochylił się ku mówiącemu i ukazał w uśmiechu swe spróchniałe zęby z pod grubych warg.

— O co pytacie? czy o to, co uczynimy z nią *przedtem*, czy o to, co *potem?*

Lecz Fourcy, wiedząc już, co chciał wiedzieć, zamilkł, przez chwilę jeszcze zdawał się walczyć z sobą, a następnie podniósł się nieco na strzemionach i rzekł tak głośno, aby go wszyscy czterej zakonnicy usłyszeli:

— Pobożny brat Ulrych von Jungingen, który jest wzorem i ozdobą rycerstwa, rzekł mi raz tak: «Jeszcze między starymi w Malborgu znajdziesz godnych krzyża rycerzy, ale ci, którzy na pogranicznych komandoryach siedzą, zakałę jeno Zakonowi przynoszą».

— Wszyscyśmy grzeszni, ale Panu naszemu służymy — odrzekł Hugo.

— Gdzie wasza rycerska cześć? Nie przez haniebne uczynki Panu się służy, chyba że nie Zbawicielowi służycie. Któż to wasz Pan? Wiedzcie przeto, że nietylko do niczego ręki nie przyłożę, ale i wam nie pozwolę.

— Na co nie pozwolicie?

— Na podstęp, na zdradę, na hańbę.

— A jako-że możecie nam zabronić? W bitwie z Jurandem postradaliście poczet i wozy. Żyć musicie tylko z łaski Zakonu — i z głodu zamrzecie, jeśli wam kawałka chleba nie rzucim. A w dodatku: wyście jeden, nas czterech; jako-że nie pozwolicie?

— Jako nie pozwolę? — powtórzył Fourcy. — Mogę nawrócić do dworca i ostrzedz księcia, mogę przed całym światem wasze zamiary rozgłosić.

Na to spojrzeli po sobie bracia zakonni i twarze zmieniły im się w oka mgnieniu. Szczególniej Hugo de Danveld popatrzył przez długą chwilę pytającym wzrokiem w oczy Zygfryda de Löwe, poczem zaś zwrócił się do pana de Fourcy:

— Przodkowie wasi — rzekł — sługiwali już w Zakonie i wy chcecie do niego wstąpić ale my zdrajców nie przyjmujem.

— Ja zaś nie chcę ze zdrajcami służyć.

— Ej-że! nie spełnicie waszej groźby. Wiecie, że Zakon umie karać nietylko zakonników...

A de Fourcy, którego podnieciły te słowa, wydobył miecz, lewą ręką schwycił za ostrze, prawą dłoń położył na rękojeści i rzekł:

— Na tę rękojmię, mającą kształt krzyża, na głowę św. Dyonizego, mego patrona, i na

moją rycerską cześć, ostrzegę księcia mazowieckiego i mistrza.

Hugo de Danveld znów popatrzył pytającym wzrokiem na Zygfryda de Löwe, a on przymknął powieki, jakby dając znak, że się na coś zgadza.

Wówczas Danveld ozwał się jakimś dziwnie głuchym i zmienionym głosem.

— Sw. Dyonizy mógł nieść pod pachą swą uciętą głowę, ale gdy wasza raz spadnie...

— Grozicie mi? — przerwał de Fourcy.

— Nie, jeno zabijam! — odpowiedział Danveld.

I pchnął go nożem w bok z taką siłą, że aż ostrze schowało się w ciele po krzyżyk. De Fourcy zawrzasnął strasznym głosem, przez chwilę usiłował chwycić prawą ręką miecz, który poprzednio trzymał w lewej, ale upuścił go na ziemię, w tym samym zaś czasie pozostali trzej bracia poczęli go żgać bez litości nożami w szyję, w plecy, w brzuch, dopóki nie spadł z konia.

Poczem nastało milczenie. De Fourcy, krwawiąc okropnie z kilkunastu ran, drgał na śniegu i darł go powykrzywianymi przez konwulsye palcami. Z pod ołowianego nieba dochodziło tylko krakanie wron, lecących z głuchych puszcz ku ludzkim siedliskom.

A następnie poczęła się spieszna rozmowa morderców:

— Ludzie nic nie widzieli! — rzekł zdyszanym głosem Danveld.

— Nic. Poczty są na przedzie, nie widać ich — odparł Löwe.

— Słuchajcie: będzie powód do nowej skargi. Rozgłosim, że mazowieccy rycerze napadli na nas i zabili nam towarzysza. Podniesiem krzyk, aż go w Malborgu usłyszą, że nawet na gości książę nasadza morderców. Słuchajcie! należy mówić, iż Janusz nietylko nie chciał wysłuchać naszych skarg na Juranda, ale kazał zamordować skarżyciela.

De Fourcy przewrócił się tymczasem w ostatniej konwulsyi na wznak i leżał nieruchomy, z krwawą pianą na ustach i z przerażeniem w martwych już, szeroko otwartych oczach. Brat Rotgier popatrzył na niego i rzekł:

— Uważcie, pobożni bracia, jako Bóg karze sam zamiar zdrady.

— Cośmy uczynili, uczyniliśmy dla dobra Zakonu — odrzekł Godfryd — Chwała tym...

Lecz przerwał, bo w tej samej chwili z tyłu za nimi, na zakręcie śnieżnej drogi, ukazał się jakiś jeździec, który pędził, co koń wyskoczy. Ujrzawszy go, Hugo de Danveld zawołał prędko:

— Ktokolwiek ten człowiek jest, musi zginąć.

A de Löwe, który, lubo najstarszy między braćmi, miał wzrok nadzwyczaj bystry, rzekł:

— Poznaję go: to ów giermiek, który tura toporem zabił. Tak jest, to on!

— Pochowajcie noże, aby się nie spłoszył — mówił Danveld. — Ja znów pierwszy uderzę, wy za mną.

Tymczasem Czech dojechał i o dziesięć lub ośm kroków zaparł konia w śnieg. Dojrzał trupa w kałuży krwi, konia bez jeźdźca i zdumienie odbiło mu się na twarzy, ale trwało tylko przez jedno mgnienie oka. Po chwili zwrócił się do braci, tak, jakby nic nie widział i rzekł:

— Czołem, mężni rycerze!

— Poznaliśmy cię — odpowiedział, zbliżając się zwolna, Danveld. — Masz-li co do nas?

— Wysłał mnie rycerz Zbyszko z Bogdańca, za którym kopię noszę, a który od tura na łowach pobit, sam nie mógł ku wam.

— Czego chce od nas twój pan?

— Za to, żeście niesłusznie Juranda ze Spychowa oskarżyli, z ujmą dla jego rycerskiej czci, pan mój każe wam powiedzieć, iżeście nie jako prawi rycerze czynili, ale jako psi szczekali; a którenby był krzyw o te słowa, tego pozywa na walkę pieszą, albo konną, aż do ostatniego tchu, do której stanie, gdzie mu wska-

żecie, gdy tylko za łaską i zmiłowaniem Bożem dzisiejsza krzypota go popuści.

— Powiedz panu swemu, że rycerze zakonni obelgi cierpliwie dla imienia Zbawiciela znoszą, zasię do walki bez osobliwego pozwoleństwa mistrza, albo wielkiego marszałka stawać nie mogą, o które to pozwoleństwo jednakże będziem do Malborga pisali.

Czech znów spojrzał na trupa pana de Fourcy, albowiem do niego to głównie był posłany. Zbyszko wiedział już przecie, że zakonnicy do pojedynków nie stają, zasłyszawszy jednak, że był między nimi rycerz świecki, jego szczególniej chciał pozwać, sądząc, że tem sobie ujmie i zjedna Juranda. Tymczasem rycerz ów leżał oto teraz zarznięty jak wół między czterema Krzyżakami.

Czech nie rozumiał wprawdzie co zaszło, ale ponieważ był od dziecka ze wszelkiemi niebezpieczeństwy oswojon, więc zwietrzył jakieś niebezpieczeństwo. Zdziwiło go też i to, że Danveld, mówiąc z nim, zbliżał się coraz bardziej ku niemu, inni zaś poczęli zjeżdżać na boki, jakby go chcieli nieznacznie okrążyć. Z tych powodów począł się mieć na baczności, zwłaszcza, że nie miał przy sobie broni, bo jej w pośpiechu wziąć nie zdążył.

A Danveld tymczasem był tuż i mówił dalej:

— Obiecałem twemu panu balsam gojący, więc źle mi się za uczynność wypłaca. Zwykła to zresztą u Polaków rzecz... ale że ciężko jest pobit i wkrótce przed Bogiem może stanąć, więc powiedz mu...

Tu wsparł lewą dłoń na ramieniu Czecha.

— Więc powiedz mu, że ja, ot, jak odpowiadam!...

I w tej samej chwili błysnął nożem przy gardle giermka, lecz nim zdołał pchnąć, Czech, który już oddawna śledził jego ruchy, chwycił go swemi żelaznemi rękoma za prawicę, wygiął ją, zakręcił, aż chrupnęły stawy i kości — i dopiero usłyszawszy okropny ryk bólu, wspiął konia i pomknął, jak strzała, zanim inni zdołali mu zastąpić.

Bracia Rotgier i Godfryd poczęli go gonić, ale wnet wrócili, przerażeni strasznym krzykiem Danvelda. De Löwe podtrzymywał go pod ramiona, on zaś z twarzą bladą i zarazem zsiniałą krzyczał tak, że aż pocztowi, jadący przy wozach znacznie na przedzie, wstrzymali konie.

— Co wam jest? — pytali bracia.

Lecz de Löwe kazał im jechać, co sił, sprowadzić wóz, albowiem Danveld widocznie nie mógł się na kulbace utrzymać. Po chwili zimny pot okrył mu czoło i zemdlał.

Po sprowadzeniu wozu ułożono go na słomie

i ruszono ku granicy. De Löwe pilił, albowiem rozumiał, że po tem, co zaszło, nie można czasu tracić, nawet dla opatrunku Danvelda. Siadłszy przy nim na wozie, wycierał od czasu do czasu śniegiem jego twarz, ale nie mógł przywrócić mu przytomności.

Dopiero w pobliżu granicy Danveld otworzył oczy i począł obzierać się, jakby ze zdziwieniem dokoła.

— Jak wam jest? — spytał Löwe.

— Nie czuję bólu, ale nie czuję i ręki — odrzekł Danveld.

— Bo wam już zdrętwiała; dlatego i ból minął. W cieplej izbie wróci. Tymczasem podziękujcie Bogu i za chwilę ulgi.

A Rotgier i Godfryd zbliżyli się zaraz do wozu:

— Stało się nieszczęście — rzekł pierwszy — co teraz będzie?

— Powiemy — odparł słabym głosem Danveld — że giermek zamordował de Fourcego.

— Nowa ich zbrodnia i winowajca wiadomy — dodał Rotgier.

XXIII.

Czech tymczasem poleciał jednym pędem wprost do leśnego dworca i zastawszy jeszcze w nim księcia, opowiedział jemu pierwszemu, co się stało. Na szczęście znaleźli się dworzanie, którzy widzieli, że giermek wyjechał bez broni. Jeden z nich krzyknął mu był nawet na drogę pół żartem, aby wziął jakie żelaziwo, bo inaczej Niemcy go pokołaczą, ów jednak, bojąc się, aby rycerze nie przejechali tymczasem granicy, skoczył na konia tak, jak stał, w kożuchu tylko i pognał za nimi. Swiadectwa te rozproszyły wszelkie wątpliwości księcia co do tego, kto mógł być zabójcą de Fourcego, ale napełniły go niepokojem i gniewem tak wielkim, że w pierwszej chwili chciał wysłać pościg za Krzyżakami, aby ich w łańcuchach odesłać wielkiemu mistrzowi na ukaranie. Po chwili jednak sam zmiarkował, że pościg nie zdołałby już dosięgnąć rycerzy przed granicą i rzekł:

— Wyślę wszelako pismo do mistrza, aby

zasię wiedział, co oni tu wyrabiają. Źle się poczyna dziać w Zakonie, bo drzewiej posłuch był okrutny, a teraz byle komtur na swoją rękę poczyna. Dopust Boży, ale za dopustem idzie kara.

Poczem zamyślił się, a po chwili znów począł mówić do dworzan:

— Tego jeno nie mogłem nijak wyrozumieć, po co oni gościa zabili — i żeby nie to, że pachołek bez broni pojechał, miałbym na niego posądzenie.

— Ba — rzekł ksiądz Wyszoniek — a pocóżby go pachoł miał zabijać, któren go przedtem nigdy nie widział, a po drugie, choćby i miał broń, jakże mu było jednemu na pięciu uderzać i na ich poczty zbrojne.

— Juści prawda — rzekł książę. — Musiał się im ów gość w czem przeciwić, albo może nie chciał tak łgać, jako im było trzeba, bom i tu już widział, że mrugali na niego, aby powiedział, że Jurand pierwszy zaczął.

A Mrokota z Mocarzewa rzekł:

— Chwacki to pachoł, jeśli on temu psu Danveldowi rękę pokruszył.

— Powiada, że słyszał, jak w Niemcu gnaty chrupnęły — odpowiedział książę — i miarkując z tego, jako się w boru popisał, może to być! Widać i sługa i pan sierdzite chłopy. Żeby

nie Zbyszko, byłby się tur na konie rzucił. I Lotaryńczyk i on wielce się do zratowania księżnej przyczynili...

— Pewnie, że sierdzity chłop — przywtórzył ksiądz Wyszoniek. — Ot i teraz, ledwie dycha, a jednak się za Jurandem ujął i tamtych pozwał... Takiego właśnie Jurandowi trzeba zięcia.

— Coś ta Jurand inaczej w Krakowie gadał, ale teraz myślę, że się nie przeciwi — rzekł książę.

— Pan Jezus to sprawi — ozwała się księżna, która wszedłszy właśnie w tej chwili, usłyszała koniec rozmowy. — Nie może się Jurand teraz przeciwić, byleby Bóg Zbyszkowi zdrowie powrócił. Ale i z naszej strony musi być też nagroda.

— Najlepsza dla niego nagroda będzie Danuśka, a ja też myślę, że ją dostanie, a to przez tę przyczynę, że jak się baby na co zawezmą, to przeciw nim i taki Jurand nie poradzi.

— Albo nie po sprawiedliwości się zawzięłam? — zapytała księżna. — Żeby Zbyszko był płochy, to nie mówię, ale wierniejszego chyba na świecie niema. I dziewczyna też. Krokiem teraz od niego nie odstąpi i po gębie go gładzi, a on się do niej w boleści śmieje. Aże mi samej czasem śluzy z oczu pociekną! Sprawiedliwie mówię!... Takiemu kochaniu warto po-

módz, bo i Matka Boska rada na szczęśliwość ludzką patrzy.

— Byle była wola Boska — rzekł książę — to i szczęśliwość się zdarzy. Ale co prawda, to mało mu przez tę dziewczynę głowy nie ucięli, a teraz znowu tur go starmosił.

— Nie powiadaj, że «przez nią!» — zawołała żywo księżna — boć nie kto inny, jeno Danuśka go w Krakowie zratowała.

— Prawda. Ale żeby nie ona, nie byłby w Lichtensteina bił, aby mu pióra ze łba zedrzeć, a za Lorchego tożby karku tak ochotnie nie nadstawił. Co zasię do nagrody, to rzekłem już, że im obum się należy i w Ciechanowie ją obmyślę.

— Niczegoby Zbyszko tak rad nie widział, jak rycerskiego pasa i złotych ostróg.

Książę uśmiechnął się na to dobrotliwie i odrzekł:

— To niech-że mu je dziewczyna poniesie, a gdy krzypota go popuści, wówczas dopilnujem, aby wszystko wedle zwykłego obyczaju się odbyło. Niech mu wnet poniesie, bo prędka radość najlepsza!

Księżna, usłyszawszy to, uściskała pana wobec dworzań, potem ucałowała kilkakrotnie jego ręce, on zaś uśmiechał się wciąż, a wreszcie rzekł:

— Widzicie... No! dobra ci rzecz do głowy przyszła! Że też to Duch św. i niewiastom krzyny rozumu nie poskąpił! Zawołajże teraz dziewczynę.

— Danuśka! Danuśka! — zawołała księżna.

I po chwili we drzwiach bocznej komory ukazała się Danusia, z zaczerwienionemi od bezsenności oczyma i z dwojakami w ręku, pełnemi dymiącej kaszy, którą ksiądz Wyszoniek okładał potłuczone kości Zbyszka, a którą stara dworka właśnie przed chwilą jej oddała.

— Pójdźże tu jeno do mnie, sierotko! — rzekł książę Janusz. — Postaw dwojaki i chodź.

I gdy zbliżyła się z pewną nieśmiałością, «Pan» bowiem wzbudzał w niej zawsze pewną obawę, przygarnął ją z dobrocią do siebie i począł gładzić po twarzy, mówiąc:

— A no bieda na cię, dziecko, przyszła — co?

— Juści! — odpowiedziała Danusia.

I mając smutek w sercu, a łzy na pogotowiu, poczęła zaraz płakać, ale cichutko, by księcia nie urazić; on zaś znów spytał:

— Czegóż płaczesz?

— Bo Zbyszko chory — odrzekła, wkładając piąstki w oczy.

— Nie bój się, nic mu nie będzie. Prawda, ojcze Wyszońku?

— Hej! bliżej mu tu za wolą Boską do ślubu,

niż do truchły — odpowiedział dobry ksiądz Wyszoniek.

A książę rzekł:

— Poczekaj! tymczasem dam ci dla niego lek, któren mu ulży, albo go i całkiem uzdrowi.

— Balsam Krzyżaki przysłały? — zawołała żywo Danusia, odejmując od oczu ręce.

— Tem, co Krzyżaki przyślą, psa lepiej posmaruj, nie zaś rycerzyka, którego miłujesz. Ale ja dam ci co innego.

Poczem zwrócił się do dworzan i zawołał:

— Chybaj mi który do komory po ostrogi i pas!

Po chwili zaś, gdy mu je przyniesiono, rzekł do Danusi:

— Bierz, a nieś Zbyszkowi i powiedz mu, że od tej pory jest przepasan. Jeśli zamrze, to przed Bogiem jako *miles cinctus* stanie, a jeśli nie, to reszty w Ciechanowie, albo w Warszawie dopelnim.

Usłyszawszy to, Danusia naprzód podjęła Pana pod nogi, poczem chwyciła jedną ręką oznaki rycerskie, drugą dwojaki i skoczyła do izby, w której leżał Zbyszko. Księżna, nie chcąc tracić widoku ich radości, poszła za nią.

Zbyszko ciężko był chory, ale ujrzawszy Danusię, zwrócił ku niej pobladłą z boleści twarz i zapytał:

— A Czech, jagódko, wrócił?

— Co tam Czech! — odpowiedziała dziewczyna — lepszą ja ci tu nowinę przynoszę. Pan cię rycerzem pasował i ot, co ci przeze mnie posyła.

To rzekłszy, położyła przy nim pas i złote ostrogi. Zbyszkowi zapłonęły radością i zdumieniem blade policzki, spojrzał na Danusię, potem na oznaki, a następnie przymknął oczy i począł powtarzać:

— Jakże to mógł mnie rycerzem pasować?

A gdy w tej chwili weszła księżna, przypodniósł się nieco na ramionach i począł jej dziękować, a przepraszać Miłościwą Panią, że jej do nóg nie może paść, gdyż wraz odgadł, że to za jej wstawiennictwem spotkało go takie szczęście. Lecz ona kazała mu zachować się spokojnie i własnemi rękoma pomogła Danusi ułożyć znów jego głowę na wezgłowiu. Tymczasem nadszedł książę, a z nim ksiądz Wyszoniek, Mrokota i kilku innych dworzan. Książę Janusz zdaleka dał znak ręką, by Zbyszko się nie ruszał, a następnie siadłszy przy łożu, tak przemówił:

— Wiecie! Nie ma to ludziom być dziwno, że za mężne a zacne uczynki jest zapłata, bo jeśliby cnota miała ostać bez nagrody, tedy i nieprawości ludzkie chodziłyby po świecie bez kary.

A żeś ty żywota nie szczędził i z utratą zdrowia od srogiej żałoby nas bronił, przeto pozwalamy ci pasem rycerskim się przepasać i we czci a sławie odtąd chadzać.

— Miłościwy Panie — odrzekł Zbyszko — jabym i dziesięciu żywotów nie żałował...

Lecz nie mógł nic więcej powiedzieć, i ze wzruszenia, i dlatego, iż księżna położyła mu rękę na ustach, gdyż ksiądz Wyszoniek nie pozwalał mu mówić. Książę zaś mówił dalej:

— Tak myślę, że powinności rycerskie znasz i że będziesz godnie one ozdoby nosił. Zbawicielowi naszemu, jako się patrzy, masz służyć, a ze starostą piekielnym wojować. Pomazańcowi ziemskiemu masz być wierny, wojny niesłusznej unikać i niewinności w ucisku bronić, w czem ci pomagaj Bóg i święta Jego Męko!

— Amen — rzekł ksiądz Wyszoniek.

Książę zaś wstał, przeżegnał Zbyszka i na odchodnem dodał:

— A gdy wyzdrowiejesz, to prosto do Ciechanowa jedź, gdzie i Juranda sprowadzę.

XXIV.

W trzy dni później przyjechała zapowiedziana niewiasta z hercyńskim balsamem, a z nią razem przybył i kapitan łuczników ze Szczytna, z listem podpisanym przez braci i opatrzonym pieczęcią Danvelda, w którym Krzyżacy niebo i ziemię brali na świadków krzywd, które ich na Mazowszu spotkały, i pod zagrożeniem pomsty Bożej wołali o karę za zamordowanie «ukochanego towarzysza i gościa». Danveld podyktował do listu i skargę od siebie, upominając się w słowach zarazem pokornych i groźnych o zapłatę za ciężkie kalectwo i wyrok śmierci na czeskiego pachołka. Książę przedarł list w oczach kapitana, rzucił mu pod nogi i rzekł:

— Przysłał tu ich, krzyżackie macie, mistrz po to, aby mnie zjednali, a oni mnie do gniewu przywiedli. Powiedz-że im ode mnie, że sami gościa uśmiercili i pachołka chcieli uśmiercić, o czem do mistrza napiszę i to też dodam, aby

innych posłów wybierał, jeśli chce, bym w razie wojny z królem krakowskim po żadnej stronie nie stanął.

— Miłościwy panie — odparł kapitan — czy jeno taką odpowiedź mam potężnym i pobożnym braciom odnieść?

— Jeślić nie dosyć, powiedz im jeszcze, że ich za psubratów, nie za prawych rycerzy uważam.

I na tem skończyło się posłuchanie. Kapitan odjechał, bo i książę tegoż dnia odjechał do Ciechanowa. Została tylko «siostra» z balsamem, którego nieufny ksiądz Wyszoniek użyć jednakże nie chciał, tembardziej, że chory poprzedniej nocy zasnął dobrze, a nazajutrz obudził się wprawdzie osłabiony bardzo, ale bez gorączki. Siostra po wyjeździe księcia wyprawiła zaraz z powrotem jednego ze swoich sług, niby po nowe lekarstwo — po «jaje bazyliszka», które, jak twierdziła, miało moc przywracania sił nawet konającym — sama zaś chodziła po dworcu, pokorna, nie władnąca jedną ręką, przybrana w świecką wprawdzie, ale podobną do zakonnej odzież, z różańcem i małą pątniczą tykwą u pasa. Mówiąc dobrze po polsku, dopytywała z wielką troskliwością służbę i o Zbyszka i o Danusię, której przy sposobności podarowała różę jerychońską, a na drugi dzień w czasie snu

Zbyszka, gdy dziewczyna siedziała w izbie jadalnej, przysunęła się do niej i rzekła:

— Boże wam błogosław, panienko. Dziś w nocy po pacierzu śniło mi się, że przez śnieg padający szło ku wam dwóch rycerzy, ale jeden doszedł pierwej i w bieluchny płaszcz was owinął, a drugi zaś rzekł: «Śnieg jeno widzę, a jej niema» — i wrócił się.

A Danusia, której chciało się spać, otworzyła zaraz ciekawie swe modre oczy i spytała:

— A co to znaczy?

— To znaczy, że ten was dostanie, który was najbardziej miłuje.

— To Zbyszko! — odrzekła dziewczyna.

— Nie wiem, bom mu twarzy nie widziała, widziałam jeno biały płaszcz, a potem obudziłam się zaraz, gdyż Pan Jezus zsyła mi każdej nocy bóle w nogach, a rękę całkiem mi odjął.

— A że to wam ten balsam nie pomógł?

— Nie pomoże mi, panienko, i balsam, gdyż to za ciężki grzech mój, a chcecie wiedzieć za jaki, to opowiem.

Danusia skinęła głową na znak, że chce wiedzieć, więc siostra mówiła dalej:

— Są w Zakonie i służki, niewiasty, które choć ślubów nie czynią, bo nawet i mężate być mogą, wszelako powinności względem Zakonu

wedle rozkazania braci pełnić są obowiązane. A którą takowa łaska i cześć ma spotkać, ta otrzymuje pobożne pocałowanie od brata-rycerza na znak, że odtąd uczynkami i mową Zakonowi ma służyć. Ach, panienko! — i mnie tak wielka łaska miała spotkać, ale ja w grzesznej zatwardziałości, zamiast ją przyjąć wdzięcznie, popełniłam ciężki grzech i karę na się ściągnęłam.

— Cóżeście takiego uczynili?

— Brat Danveld przyszedł do mnie i dał mi zakonne pocałowanie, ja zasię myśląc, iż on to przez swawolę jakowąś czyni, podniosłam na niego bezbożną rękę...

Tu zaczęła się bić w piersi i powtórzyła kilkakrotnie:

— Boże, bądź miłościw mnie grzesznej.

— I cóż się stało? — zapytała Danusia.

— I zaraz mi rękę odjęło i od tej pory kaleką jestem. Młoda byłam i głupia — nie wiedziałam! a jednak kara na mnie spadła. Bo choćby niewieście się wydało, że brat zakonny chce coś złego uczynić, niech Bogu sąd ostawi, a sama się nie sprzeciwia, gdyż kto się Zakonowi, albo krzyżowemu bratu sprzeciwi, tego gniew Boży dosięgnie.

Danusia słuchała tych słów z przykrością

i lękiem, siostra zaś poczęła wzdychać i dalej żale rozwodzić.

— Nie staram jeszcze i dziś — mówiła — ledwie mi trzydzieści roków, ale Bóg razem z ręką odjął młodość i urodę.

— Żeby nie ręka — odrzekła Danusia — tobyście jeszcze nie mogli narzekać...

Poczem nastało milczenie. Nagle siostra, jakby sobie coś przypomniawszy, rzekła:

— A śniło mi się, że was jakiś rycerz w biały płaszcz na śniegu owinął. Może to był Krzyżak! Oni też białe płaszcze noszą.

— Nie chcę ja ni Krzyżaków, ni ich płaszczów — odpowiedziała dziewczyna.

Lecz dalszą rozmowę przerwał ksiądz Wyszoniek, który, wszedłszy do komory, kiwnął na Danusię i rzekł:

— Chwalże Boga i chodź do Zbyszka! Zbudził się i jeść woła. Znacznie go popuściło.

Jakoż tak było rzeczywiście. Zbyszko miał się lepiej i ksiądz Wyszoniek miał już prawie pewność, że będzie zdrów, gdy nagle niespodziane zdarzenie pomieszało wszystkie rachuby i nadzieje. Oto od Juranda przybyli wysłańcy z pismem do księżnej, zawierającem same złe i straszne nowiny. W Spychowie spaliła się część Jurandowego gródka, on sam zaś został przy ratunku płonącą belką przytłuczon. Ksiądz

Kaleb, który w imieniu jego list pisał, donosił wprawdzie, że wyzdrowieć jeszcze Jurand może, ale że skry i węgle tak przypaliły mu jedyne pozostałe oko, iż już mu niewiele światła w niem pozostało i grozi mu niechybna ślepota.

Z tej przyczyny wzywał Jurand córkę, by spiesznie przybywała do Spychowa, bo chce ją widzieć jeszcze, nim ciemności go ogarną. Mówił też, że odtąd ma już pozostać przy nim, bo jeśli nawet między ślepcami, którzy po proszonym chlebie między ludźmi chadzają, ma każdy jakoweś pacholę, które go za rękę wiedzie i drogę mu pokazuje, czemużby on tej ostatniej pociechy miał być pozbawion i między obcymi umierać? Były też pokorne podzięki dla księżnej, która dziewczynę jakby rodzona matka hodowała, a w końcu obiecywał Jurand, że choć i ślepy, raz jeszcze do Warszawy przyjedzie, aby upaść Pani do nóg i o łaskę na dalsze lata dla Danusi jej prosić.

Księżna gdy jej ojciec Wyszoniek przeczytał ów list, przez jakiś czas słowa prawie nie mogła przemówić. Miała ona nadzieję, że gdy Jurand, który pięć lub sześć razy do roku przyjeżdżał do dziecka, przyjedzie na blizkie święta, wówczas go powagą własną i księcia Janusza przejedna dla Zbyszka i zgodę jego na blizkie wesele uzyska. Tymczasem list ów

nietylko burzył jej zamiary, ale pozbawiał jej zarazem i Danusi, którą kochała na równi z własnemi dziećmi. Przyszło jej do głowy, że Jurand może i wyda zaraz dziewczynę za którego z sąsiadów, aby reszty dni pomiędzy swoimi dożyć. O Zbyszku nie było co i myśleć, aby mógł do Spychowa jechać, gdyż żebra dopiero mu się zaczęły zrastać i zresztą, któż mógł wiedzieć, jakby był w Spychowie przyjęty? Wiedziała przecie pani, że Jurand wręcz mu swego czasu Danusi odmówił i jej samej powiedział, że dla tajemnych przyczyn nigdy na ich połączenie nie zezwoli. Więc w ciężkim frasunku kazała wezwać do siebie starszego z pomiędzy przysłanych ludzi, aby go o nieszczęście spychowskie rozpytać, a zarazem czegoś się o zamiarach Jurandowych dowiedzieć.

I zdziwiła się nawet, gdy na jej wezwanie wszedł człowiek zupełnie nieznany, nie zaś stary Tolima, który tarczę za Jurandem nosił i zwykle z nim razem przyjeżdżał, ów jednak odpowiedział jej, że Tolima w bitce ostatniej z Niemcami okrutnie poszczerbion, ze śmiercią w Spychowie się zmaga, zaś Jurand, ciężką chorobą złożony, o prędki powrót córki prosi, gdyż coraz mniej widzi, a za dni parę może i całkiem oślepnie. Prosił nawet usilnie wysłannik, by zaraz, jak tylko konie odetchną,

wolno było wziąć dziewczynę, ale że to był wieczór, sprzeciwiła się temu stanowczo pani, zwłaszcza, by i Zbyszkowi i Danusi i sobie do reszty serca przez prędkie pożegnanie nie rozdzierać.

A Zbyszko już wiedział o wszystkiem i leżał w izbie, jakby uderzony obuchem w głowę, a gdy pani weszła i łamiąc ręce, ozwała się zaraz z proga: «Niema rady, boć to przecie ojciec» — powtórzył za nią, jak echo: «Niema rady» — i zamknął oczy, jak człowiek, który się spodziewa, że zaraz śmierć do niego przystąpi.

Lecz śmierć nie nadeszła, choć w piersiach zbierał mu się żal coraz większy, a przez głowę przelatywały mu myśli coraz ciemniejsze, takie właśnie jak chmury, które gnane wichrem jedna za drugą, przysłaniają blask słoneczny i gaszą wszelką radość na świecie. Rozumiał bowiem Zbyszko, równie jak i księżna, że gdy Danusia raz do Spychowa wyjedzie, będzie dla niego tak, jak stracona. Tu wszyscy byli dla niego życzliwi, tam Jurand może go nawet przyjąć ani wysłuchać nie zechce, zwłaszcza, jeśli go wiąże ślub, lub jakaś inna nieznana przyczyna, równie jak religijny ślub ważna. Zresztą, gdzie mu tam jechać do Spychowa, gdy oto chory jest i ledwie się może na łożu

poruszyć. Przed kilku dniami, gdy z łaski księcia spadły nań złote ostrogi wraz z rycerskim pasem, myślał, że radość przemoże w nim chorobę, i modlił się z całej duszy, aby rychło mógł powstać i z Krzyżakami się zmierzyć, ale teraz stracił znów wszelką nadzieję, czuł bowiem, że gdy mu zbraknie przy łożu Danusi, to razem z nią zbraknie mu i ochoty do życia i sił do walki ze śmiercią. Przyjdzie oto dzień jutrzejszy i pojutrzejszy, nadejdzie wreszcie wigilia i święta, kości go będą tak samo bolały i tak samo będzie go chwytało omdlenie, a nie będzie przy nim ni tej jasności, która po całej izbie rozchodzi się od Danusi, ni tego uradowania oczu, które na nią patrzą. Co za pociecha i co za osłoda była pytać kilka razy na dzień: «Miłym ci?» — i widzieć ją potem, jak sobie przysłania śmiejące się i zawstydzone oczy dłonią, albo też pochyla się i odpowiada: «A któż inny?» Obecnie zaś tylko choroba zostanie i ból zostanie i tęsknota, a szczęście odejdzie i nie wróci.

Łzy zabłysły w oczach Zbyszkowych i stoczyły mu się zwolna po policzkach, poczem zwrócił się do księżny i rzekł:

— Miłościwa pani, już ja tak myślę, że Danuśki więcej w życiu nie obaczę.

A pani, sama stroskana, odpowiedziała:

— Bo i nie dziwnoby było, żebyś zamarł od żałości. Ale Pan Jezus jest miłosierny.

Po chwili zaś, chcąc go jednak choć trochę pokrzepić, dodała:

— Chociaż, żeby, nie przymierzając, Jurand umarł przed tobą, to opiekuństwo przeszłoby na księcia i na mnie, a mybyśmy ci dziewczynę oddali.

— Kiedy on tam umrze! — odrzekł Zbyszko.

Lecz nagle, widocznie jakaś nowa myśl błysnęła mu w głowie, gdyż przypodniósł się, siadł na łożu i rzekł zmienionym głosem:

— Miłościwa Pani...

Wtem przerwała mu Danusia, która wbiegłszy z płaczem, poczęła od progu wołać:

— To już wiesz, Zbyszku! Oj, żal mi tatusia, ale żal i ciebie, nieboże!

Zbyszko zaś, gdy zbliżyła się ku niemu, ogarnął zdrowem ramieniem swoje kochanie i począł mówić:

— Jakże mi żyć bez ciebie dziewczyno? Nie po tom tu przez rzeki i bory jechał, nie po tom ci ślubował i służył, abym cię zaś miał utracić. Hej! nie pomoże żal, nie pomoże płakanie, ba! i śmierć sama, bo choćby i murawa na mnie porosła, dusza o tobie nie zapomni, by i na Pana Jezusowym dworze, by i u samego

Boga Ojca na pokojach... I, rzekę, rady niema, a rada musi być, bo bez niej nijak! Krzypotę w kościach czuję i boleść srogą, ale choć ty padnij pani do nóg, bo ja nie mogę — i proś o zmiłowanie nad nami.

Danusia, posłyszawszy to, prędko skoczyła do nóg księżnej i objąwszy je ramionami, pochowała swą jasną twarz w zgięciach jej ciężkiej sukni, pani zaś zwróciła pełne litości, ale zarazem zdziwione oczy na Zbyszka.

— W czemże ja wam mogę okazać zmiłowanie? — zapytała. — Nie puszczę dziecka do chorego rodzica, to i gniew Boży ściągnę.

Zbyszko, który poprzednio przypodniósł się był na łożu, zesunął się znów na wezgłowie i przez jakiś czas nie odpowiadał, gdyż mu tchu brakło. Powoli jednak począł posuwać na piersiach jedną rękę ku drugiej, aż wreszcie złożył je jak do modlitwy.

— Odpocznij — rzekła księżna — potem zasie powiadaj, o co ci idzie, a ty, Danuśka, wstań mi od kolan.

— Pofolguj, ale nie wstawaj i proś wraz ze mną — ozwał się Zbyszko.

Poczem jął mówić słabym i przerywanym głosem:

— Miłościwa pani... Był ci mi Jurand przeciwny w Krakowie... będzie i tu, ale gdyby oj-

ciec Wyszoniek dał mi ślub z Danuśką, to — niechby potem i jechała do Spychowa, bo mi jej żadna moc ludzka nie odejmie...

Słowa te były dla księżny Anny czemś tak niespodzianem, że aż zerwała się z ławy, poczem znów siadła i jakby nie rozumiejąc dobrze, o co chodzi, rzekła:

— Rany Boskie!... ksiądz Wyszoniek?...

— Miłościwa pani!... miłościwa pani! — prosił Zbyszko.

— Miłościwa pani! — powtarzała za nim Danusia, obejmując znów kolana księżny.

— Jakoże to być może bez pozwolenia rodzicielskiego...

— Zakon Boży mocniejszy! — odpowiedział Zbyszko.

— Bójcie-że się Boga!

— Kto ojciec, jeśli nie książę?... kto matka, jeśli nie wy, Miłościwa Pani!

A Danusia na to:

— Miłościwa matuchno!

— Prawda, że to ja byłam jej i jestem jako matka — rzekła księżna — i z mojej też ręki Jurand dostał żonę. Prawda! A jakby raz ślub był, to i przepadło. Możeby się Jurand i posierdził, ale przecie i on księciu, jako panu swojemu, powinien. Wreszcie możnaby mu zrazu nie mówić, dopiero gdyby dziewczynę chciał

innemu dać, albo mniszką uczynić... Jeśli zaś śluby jakowe uczynił, to i nie będzie jego winy. Przeciw woli Boskiej nikt nie poradzi... Dla Boga żywego, może to i wola Boska!

— Inaczej nie może być! — zawołał Zbyszko.

Lecz księżna, cała jeszcze wzruszona, rzekła:

— Poczekajcie, niech się opamiętam! Żeby tu książę był, zarazbym do niego poszła i zapytałabym: mam-li Danuśkę dać, czyli też nie?... Ale bez niego się boję... Aż mi dech zaparło, a tu i czasu na nic niema, bo i dziewczyna musi jutro jechać!... O miły Jezu! niechby żeniata jechała — byłby już spokój. Jeno nie mogę się opamiętać i czegoś mi strach. A tobie nie strach, Danuśka? — gadajże!

— Już ja bez tego zamrę — przerwał Zbyszko.

A Danuśka podniosła się od kolan księżny i ponieważ istotnie była przez dobrą panią nietylko do poufałości dopuszczana, ale i pieszczona, więc chwyciła ją za szyję i poczęła ściskać z całej siły.

Lecz księżna rzekła:

— Bez ojca Wyszońka nic wam nie powiem. Skocz-że po niego co prędzej!

Danusia skoczyła po ojca Wyszońka, Zbyszko

zaś zwrócił swą wybladłą twarz do księżny i rzekł:

— Co mi Pan Jezus przeznaczył, to będzie, ale za tę pociechę niech wam Bóg, Miłościwa Pani, nagrodzi.

— Jeszcze mnie nie błogosław — odrzekła księżna — bo niewiadomo, co się stanie. I musisz mi też na cześć poprzysiądz, że jeśli ślub będzie, nie wzbronisz dziewczynie do rodziciela zaraz jechać, abyś broń Boże przekleństwa jego na siebie i na nią nie ściągnął.

— Na moją cześć! — rzekł Zbyszko.

— To i pamiętaj! A Jurandowi niech dziewczyna zrazu nic nie mówi. Lepiej, aby go nowina nie oparzyła, jak ogień. Poślemy po niego z Ciechanowa, by z Danuśką przyjeżdżał i wtedy sama mu powiem, albo też księcia uproszę. Jak zobaczy, że niema rady, to się i zgodzi. Nie był ci on przecie krzyw?

— Nie — rzekł Zbyszko – nie był mi krzyw, więc może i rad będzie w duszy, że Danuśka będzie moja. Bo jeśli ślubował, to już nie będzie jego winy, jeśli nie dotrzyma.

Wejście księdza Wyszońka z Danusią przerwało dalszą rozmowę. Księżna wezwała go w tej chwili do narady i z wielkim zapałem poczęła mu opowiadać o Zbyszkowych zamia-

rach, lecz on, zaledwie usłyszawszy, o co idzie, przeżegnał się ze zdumienia i rzekł:

— W imię Ojca i Syna i Ducha!... jakże ja to mogę uczynić? Toć przecie adwent!

— Dla Boga! prawda! — zawołała księżna.

I nastało milczenie; tylko strapione twarze okazywały, jakim ciosem były dla wszystkich słowa ojca Wyszońka.

On zaś po chwili rzekł:

— Gdyby dyspensa była, tobym się i nie przeciwił, bo mi was żal. O Jurandowe pozwoleństwo niekonieczniebym pytał, bo skoro pani miłościwa pozwala i za zgodę księcia pana naszego zaręcza — no! — to oni ojciec i matka dla naszego Mazowsza. Ale bez dyspensy biskupiej — nie mogę. Ba! żeby to ksiądz biskup Jakób z Kurdwanowa był między nami, możeby dyspensy nie odmówił, choć to surowy jest ksiądz, nie taki, jak był jego poprzednik, biskup Mamphiolus, któren na wszystko powiadał: «bene! bene!»

— Biskup Jakób z Kurdwanowa miłuje wielce i księcia i mnie — wtrąciła pani.

— To też dlatego mówię, że dyspensyby nie odmówił, ile że są do tego przyczyny... Dziewczyna musi jechać, a ów młodzianek chorzeje i może zamrzeć... Hm!... *in articulo mortis*... Ale bez dyspensy nijak...

— Już jabym tam i później biskupa Jakóba o dyspensę uprosiła i choćby też nie wiem jak był surowy, nie odmówi on mi tej łaski... Ej, uręczam, że nie odmówi.

Na to ksiądz Wyszoniek, który był człek dobry i miękki, rzekł:

— Słowo pomazanki Boskiej — wielkie słowo... Strach mi księdza biskupa, ale to wielkie słowo!... Mógłby też młodzianek co do katedry w Płocku przyobiecać... Nie wiem... Zawszeć to, póki dyspensa nie nadejdzie, będzie grzech i to nie kogo innego, jeno mój... Hm! Pan Jezus po prawdzie jest miłosierny i jeśli kto zgrzeszy nie dla własnego zysku, jeno z politowania nad ludzką biedą, to tem łatwiej przebacza!... Ale grzech będzie i nużby się biskup zaciął, kto mi da odpust?

— Biskup się nie zatnie! — zawołała księżna Anna.

A Zbyszko rzekł:

— Ten Sanderus, któren ze mną przyjechał, ma na wszystko odpusty.

Ksiądz Wyszoniek może i niezupełnie wierzył w odpusty Sanderusa, ale rad był chwycić się choćby pozoru, byle tylko Zbyszkowi i Danusi przyjść z pomocą, gdyż dziewczynę, którą znał od małego, kochał bardzo. Wreszcie pomyślał, że w najgorszym razie spotkać go może

pokuta kościelna, więc zwrócił się do księżnej i rzekł:

— Ksiądz ci ja jestem, ale i książęcy sługa. Jakoże miłościwa pani rozkażecie?

— Nie chcę rozkazywać, wolę prosić — odpowiedziała pani. — Ale jeśli ten Sanderus ma odpusty...

— Sanderus ma. Jeno o biskupa chodzi. Srogie on tam w Płocku z kanonikami synody odprawuje.

— Biskupa się nie bójcie. Zabronił on, jako słyszałem, księżom mieczów, kusz i różnej swawoli, ale dobrze czynić nie zabronił.

Ksiądz Wyszoniek podniósł oczy i ręce w górę:

— To niechże się stanie wedle waszej woli.

Na te słowa radość opanowała serca. Zbyszko znów usiadł na wezgłowiu, a księżna, Danusia i ojciec Wyszoniek siedli koło łoża i poczęli «uradzać», jak rzecz należy uczynić. Więc postanowili zachować tajemnicę, tak, aby w domu żywa dusza o tem nie wiedziała; postanowili też, że i Jurand nie powinien nic wiedzieć, póki mu sama pani w Ciechanowie o wszystkiem nie oznajmi. Natomiast miał ksiądz Wyszoniek napisać list od księżny do Juranda, by zaraz przyjeżdżał do Ciechanowa, gdzie lepsze leki na jego kalectwo mogą się znaleźć i sa-

motność mniej mu będzie dokuczać. Uradzili nakoniec, że i Zbyszko i Danusia przystąpią do spowiedzi, ślub zaś odbędzie się nocą, gdy już wszyscy spać się pokładą.

Przyszło Zbyszkowi na myśl, żeby wziąć giermka Czecha, jako świadka ślubu, ale porzucił ten zamiar, przypomniawszy sobie, że ma go od Jagienki. Przez chwilę stanęła mu w pamięci, jakby żywa, tak, iż zdało mu się, że widzi jej rumianą twarz, jej zapłakane oczy i słyszy głos proszący: «Nie czyń mi tego! nie płać mi złem za dobre i niedolą za kochanie!» — Aż nagle chwyciła go wielka litość nad nią, gdyż czuł, że jej się stanie ciężka krzywda, po której nie znajdzie pociechy ni pod zgorzelickim dachem, ni w głębi boru, ni w polu, ni w darach opata, ni w zalotach Cztana i Wilka. Więc rzekł jej w duchu: «Daj ci Bóg wszystko najlepsze, dziewczyno, ale choćbym ci rad i nieba przychylić — nie poradzę». I rzeczywiście przekonanie, że nie było to w jego mocy, przyniosło mu wnet ulgę i wróciło spokojność, tak, że zaraz począł myśleć tylko o Danusi i o ślubie.

Nie mógł się jednak obejść bez pomocy Czecha, więc lubo postanowił zamilczeć przed nim o tem, co się miało stać, kazał go do siebie przywołać i rzekł mu:

— Przystąpię dziś do spowiedzi i do Stołu Pańskiego, przybierz mnie przeto jak najochędożniej, jakobym na królewskie pokoje miał iść.

Czech przeląkł się nieco i począł patrzeć mu w twarz, co zrozumiawszy, Zbyszko rzekł:

— Nie bój się, nietylko na śmierć ludzie się spowiadają, a tem bardziej, że idą święta, na które ojciec Wyszoniek z księżną do Ciechanowa wyjedzie i nie będzie księdza bliżej, niż w Przasnyszu.

— A Wasza Miłość nie pojedzie? — spytał giermek.

— Jeśli wyzdrowieję, to pojadę, ale to w Boskich ręku.

Więc Czech się uspokoił i skoczywszy do łubów, przyniósł ową białą jakę zdobyczną, złotem szytą, w którą rycerz ubierał się zwykle na wielkie uroczystości, a też i piękny kobierczyk dla okrycia nóg i łoża, zaczem podniósłszy Zbyszka przy pomocy dwóch Turczynków, umył go, uczesał jego długie włosy, na które nałożył szkarłatną przepaskę, wreszcie wsparł tak przybranego o czerwone poduszki i rad z własnego dzieła, rzekł:

— Żeby jeno Wasza Miłość pląsać mogła, to choćby i wesele wyprawić!

— Musiałoby się obyć bez pląsów — odrzekł z uśmiechem Zbyszko.

A tymczasem księżna rozmyślała również w swojej izbie, jak przybrać Danusię, gdyż dla jej niewieściej natury była to sprawa wielkiej wagi i za nic nie chciałaby przyzwolić, by miła jej wychowanka stanęła w codziennej szacie do ślubu. Służki, którym powiedziano, że dziewczyna też do spowiedzi w barwę niewinności się przybiera, łatwo znalazły w skrzyni białą sukienkę, ale bieda była z przybraniem głowy. Na myśl o tem opanował panią jakiś dziwny smutek, tak, iż poczęła wyrzekać.

— Gdzie ja dla ciebie, sierotko — mówiła — wianek ruciany w tym boru wynajdę! Ni tu kwiatuszka jakowego, ni liścia, chyba się mchy gdzie pod śniegiem zielenią.

A Danusia, stojąc z rozpuszczonymi już włosami, zatroskała się także, bo i jej chodziło o wianek; po chwili jednak ukazała na równianki z nieśmiertelników, wiszące na ścianach izby i rzekła:

— Choćby i z tego co uwić, bo nic innego nie znajdziem, a Zbyszko weźmie mnie i w takim wianku.

Księżna nie chciała się z początku na to zgodzić, bojąc się złej wróżby, ale że w dworcu, do którego tylko na łowy przyjeżdżano, nie było żadnych kwiatów, więc skończyło się na nieśmiertelnikach. Tymczasem nadszedł ojciec

Wyszoniek, który poprzednio wyspowiadał już Zbyszka, i zabrał dziewczynę do spowiedzi, a potem zapadła głucha noc. Służba po wieczerzy poszła z rozkazu księżny spać. Wysłańcy Jurandowi pokładli się jedni w czeladnej, inni przy koniach w stajniach. Wkrótce ognie w służebnych izbach zasuły się popiolem na trzonach i pogasły, aż wreszcie uczyniło się całkiem cicho w leśnym dworze i tylko psy szczekały od czasu do czasu na wilki w stronę boru.

Jednakże u księżny, u ojca Wyszońka i u Zbyszka okna nie przestawały świecić, rzucając czerwone blaski na śnieg, pokrywający dziedziniec. Oni zaś czuwali w ciszy, słuchając bicia własnych serc, niespokojni i przejęci uroczystością chwili, która zaraz nadejść miała. Jakoż po północy księżna wzięła za rękę Danusię i poprowadziła ją do izby Zbyszkowej, gdzie ojciec Wyszoniek czekał już na nich z Panem Bogiem. W izbie palił się wielki ogień w grabie i przy jego obfitem, ale nierównem świetle Zbyszko ujrzał Danusię, bladą nieco od bezsenności, białą, z wiankiem nieśmiertelników na skroni, przybraną w sztywną, spadającą aż do ziemi sukienkę. Powieki miała ze wzruszenia przymknięte, rączyny opuszczone wzdłuż sukni — i przypominała tak jakieś malowania na szybach, było w niej coś tak kościelnego,

że Zbyszka zdjęło zdziwienie na jej widok, pomyślał bowiem, że nie dziewczynę ziemską, ale jakąś duszyczkę niebieską ma wziąć za żonę. A pomyślał to jeszcze bardziej, gdy klękła ze złożonemi dłońmi do komunii i przechyliwszy w tył głowę, zamknęła całkiem oczy. Wydała mu się nawet wówczas, jak umarła i aż lęk chwycił go za serce. Nie trwało to jednak długo, gdyż posłyszawszy głos księdza: *Ecce Agnus Dei* — sam skupił się w duchu i myśli jego wzięły lot w stronę Bożą. W izbie słychać było teraz tylko uroczysty głos księdza Wyszońka: *Domine, non sum dignus* — a wraz z nim trzaskania iskier w ognisku i świerszcze, grające zawzięcie, a jakoś żałośnie w szparach komina. Za oknami wstał wiatr, zaszumiał w ośnieżonym lesie, lecz zaraz ścichł.

Zbyszko i Danusia pozostali jakiś czas w milczeniu, ksiądz Wyszoniek zaś wziął kielich i odniósł go do kapliczki dworskiej. Po chwili wrócił, ale nie sam, tylko z panem de Lorche i widząc zdziwienie na twarzach obecnych, położył naprzód palec na ustach, jakby chcąc jakiemuś niespodzianemu okrzykowi zapobiedz, poczem zaś rzekł:

— Rozumiałem, że będzie lepiej, aby było dwóch świadków ślubu i dlatego wpierw jeszcze ostrzegłem tego rycerza, któren mi na cześć

i na relikwie akwizgrańskie poprzysiągł, że tajemnicy, póki będzie trzeba, dochowa.

A pan de Lorche przykląkł naprzód przed księżną, potem przed Danusią, następnie zaś podniósł się i stał w milczeniu, przybrany w uroczystą zbroję, po której zagięciach pełgały czerwone światełka od ognia, długi, nieruchomy, pogrążon jakby w zachwycie, gdyż i jemu ta biała dziewczyna z wiankiem nieśmiertelników na skroni wydała się, jakby aniołem, widzianym na szybie w gotyckim tumie.

Lecz ksiądz postawił ją przy łożu Zbyszka i narzuciwszy im stułę na ręce, rozpoczął zwykły obrządek. Księżnie spływały łzy jedna za drugą po poczciwej twarzy, lecz w duszy nie czuła w tej chwili niepokoju, sądziła bowiem, że dobrze czyni, łącząc tych dwoje cudnych i niewinnych dzieci. Pan de Lorche klęknął po raz wtóry i wsparty obiema rękoma na rękojeści miecza, wyglądał zupełnie, jak rycerz, który ma widzenie, tych zaś dwoje powtarzało kolejno słowa księdza: «Ja... biorę... ciebie sobie» — a do wtóru tym słowom cichym i słodkim grały znów świerszcze w szparach komina i trzaskał ogień w grabie. Po skończonym obrządku Danusia padła do nóg księżnie, która błogosławiła oboje, a gdy wreszcie oddała ich w opiekę mocom niebieskim, rzekła:

— Radujcie się teraz, bo już ona twoja, a ty jej.

Wówczas Zbyszko wyciągnął swe zdrowe ramię do Danusi, ona zaś objęła go rączętami za szyję i przez chwilę słychać było, jak powtarzali sobie z ustami przy ustach:

— Mojaś ty, Danuśko.

— Mój ty, Zbyszku.

Lecz zaraz potem Zbyszko zesłabł, gdyż za dużo było na jego siły wzruszeń — i zesunąwszy się na poduszki, począł oddychać ciężko. Nie przyszło jednak nań omdlenie i nie przestał się uśmiechać do Danusi, która obcierała mu twarz, zroszoną zimnym potem, a nawet nie przestał powtarzać jeszcze: «Mojaś ty, Danuśka» — na co ona pochylała za każdym razem swą przetowłosą głowę. Widok ten wzruszył do reszty pana de Lorche, który oświadczył, że gdy w żadnym kraju nie przygodziło mu się widzieć serc tak czułych, przeto poprzysięga uroczyście, jako gotów jest potykać się pieszo lub konno z każdym rycerzem, czarnoksiężnikiem lub smokiem, któryby ich szczęśliwości śmiał stanąć na zawadzie. I rzeczywiście poprzysiągł ową zapowiedź natychmiast na mającej kształt krzyżyka rękojeści od mizerykordyi, to jest małego miecza, który służył rycerzom do dobijania rannych. Księżna i ojciec

Wyszoniek wezwani byli na świadków tej przysięgi.

Lecz pani, nie rozumiejąc ślubu bez jakowegoś wesela, przyniosła wina, więc pili następnie wino. Godziny nocy płynęły jedna za drugą. Zbyszko, przezwyciężywszy słabość, przygarnął znów Danusię i rzekł:

— Skoro mi cię Pan Jezus oddał, nikt mi cię nie odbierze, ale mi żal, że wyjeżdżasz, jagódko moja najmilsza.

— Do Ciechanowa z tatulem przyjedziem — odpowiedziała Danusia.

— Byle cię chorość jakaś nie napadła, albo co... Boże cię strzeż od złej przygody.. Musisz do Spychowa — wiem!... Hej!... Bogu najwyższemu i miłościwej pani dziękować, żeś już moja, bo jużci co ślub, to tego moc ludzka nie odrobi.

Że jednak ślub ten odbył się w nocy i tajemniczo i że zaraz po nim miało nastąpić rozstanie, więc chwilami jakiś dziwny smutek ogarniał nietylko Zbyszka, ale i wszystkich. Rozmowa rwała się. Od czasu do czasu przygasał też ogień w grabie i głowy pogrążały się w mroku. Ksiądz Wyszoniek rzucał wówczas na węgle nowe bierwiona, a gdy zapiszczało co żałośnie w szczapie, jako często bywa przy świeżem drzewie, mówił:

— Duszo pokutująca, czego żądasz?

Odpowiadały mu świerszcze, a potem wzmagający się płomień, który wydobywał z cienia bezsennne twarze, odbijał się w zbroi pana de Lorche, rozświetlając zarazem białą sukienkę i nieśmiertelniki na głowie Danusi.

Psy na dworze poczęły znów poszczekiwać w stronę boru takiem szczekaniem, jak na wilki.

I w miarę, jak płynęły godziny nocy, coraz częściej zapadało milczenie, aż wreszcie księżna rzekła:

— Miły Jezu! ma-li tak być po ślubie, lepiejby pójść spać, ale skoro mamy czuwać do rana, to i zagrajże nam jeszcze, kwiatuszku, ostatni raz przed odjazdem na lutenice, mnie i Zbyszkowi.

Danusia, która czuła zmęczenie i senność, rada była czemkolwiek się orzeźwić, więc skoczyła po lutnię i wróciwszy z nią po chwili, siadła przy łóżku Zbyszka.

— Co mam grać? — zapytała.

— Co? — rzekła księżna — a cóżby, jak nie oną pieśń, którąś w Tyńcu śpiewała, kiedy to cię pierwszy raz Zbyszko ujrzał!

— Hej! pamiętam i do śmierci nie zabaczę — rzekł Zbyszko. — Jakem, bywało, to gdzie usłyszał, to aże mi śluzy z oczu płynęły.

— To i zaśpiewam! — rzekła Danusia.

I zaraz poczęła brząkać na luteńce, następnie zaś, zadarłszy jak zwykle główkę do góry, zaśpiewała:

«Gdybym to ja miała
Skrzydłeczka, jak gąska,
Poleciałabym ja
Za Jaśkiem do Śląska.

Usiadłabym ci ja
Na śląskowskim płocie:
Przypatrz się, Jasieńku,
Ubogiej sierocie!...»

Lecz nagle głos jej się załamał, usta poczęły się trząść, a z pod zamkniętych rzęs łzy wydostawały się przemocą na policzki. Przez chwilę starała się ich nie puścić z pod powiek, ale nie mogła i w końcu rozpłakała się serdecznie, zupełnie jak wówczas, gdy ostatni raz śpiewała tę pieśń Zbyszkowi w krakowskiem więzieniu.

— Danuśka! co ci, Danuśka? — pytał Zbyszko.

— Czego płaczesz? Jakież to wesele! — zawołała księżna. — Czego?

— Nie wiem — odpowiedziała, łkając, Danuśka — tak-ci mi smutno!... taki żal!... Zbyszka i pani...

Więc zatroskali się wszyscy i nuż ją pocieszać, nuż tłómaczyć jej, że to nie na długo tego odjazdu i że pewnie jeszcze na święta zjadą z Jurandem do Ciechanowa. Zbyszko znów objął ją ramieniem, przytulał do piersi i wycałowywał łzy z oczu, ucisk jednak pozostał we wszystkich sercach i w tym ucisku zbiegały im godziny nocy.

Aż wreszcie na dziedzińcu rozległ się odgłos tak nagły i przeraźliwy, że aż wzdrygnęli się wszyscy. Księżna, zerwawszy się z ławy, zawołała:

— O dla Boga! Żórawie studzienne! Konie poją!

A ksiądz Wyszoniek spojrzał w okno, w którem szklane gomółki przybierały barwę szarawą i ozwał się:

— Noc już bieleje i dzień się czyni. *Ave Maria, gratias plena...*

Poczem wyszedł z izby i wróciwszy po niejakim czasie, rzekł:

— Dnieje, chociaż będzie ciemny dzień. To Jurandowi ludzie konie poją. Czas ci do drogi, niebogo!...

Na te słowa i księżna i Danusia uderzyły w głośny płacz i obie wraz ze Zbyszkiem poczęły wyrzekać, tak jak wyrzekają ludzie prości,

gdy im przychodzi się rozstać, to jest, że było w tem wyrzekaniu coś obrządkowego i zarazem, jakby pół zawodzenie, pół śpiewanie, które wylewa się z dusz prostych, tak przyrodzoną drogą, jak leją się łzy z oczu.

«Hej! nie pomoże już nic płakanie,
Już cię żegnamy, miłe kochanie,
Już płakanie nie pomoże,
Już żegnamy cię, nieboże,
Żegnamy cię — hej!...»

Lecz Zbyszko przytulił po raz ostatni Danusię do piersi i trzymał ją długo, dopóty, dopóki mu tchu starczyło i dopóki księżna nie oderwała jej od niego, aby ją przebrać na drogę.

Tymczasem rozedniało zupełnie. We dworcu rozbudzili się wszyscy i poczęli się krzątać. Do Zbyszka wszedł Czech, giermek, dowiedzieć się o zdrowie i spytać o rozkazy.

— Przyciągnij łoże do okna — rzekł mu rycerz.

Czech przyciągnął z łatwością łoże do okna, ale zdziwił się, gdy Zbyszko kazał mu je otworzyć, usłuchał jednak tego rozkazu, nakrył tylko pana własnym kożuchem, gdyż na dworze chłodno było, choć chmurno — i padał śnieg miękki, a obfity.

Zbyszko począł patrzeć: na dziedzińcu przez

lecące z chmur płatki śniegowe widać było sanki, wokół nich siedzieli na zszerszeniałych i dymiących koniach ludzie Jurandowi. Wszyscy byli zbrojni, a niektórzy mieli blachy na kożuchach, w których przeglądały się blade i posępne promienie dnia. Las zasuło całkiem śniegiem; płotów i kołowrota prawie nie można było dojrzeć.

Danusia wpadła jeszcze do izby Zbyszka, cała już zakuta w kożuszek i lisią szubę; jeszcze raz objęła za szyję i jeszcze raz rzekła mu na pożegnanie:

— Chociaż i odjeżdżam, tom twoja.

A on całował jej ręce, policzki i oczy, które ledwie było widać z pod lisiego puchu i mówił:

— Boże cię strzeż! Boże cię prowadź! Mojaż ty już, moja do śmierci!

I gdy znów oderwano ją od niego, podniósł się, ile mógł, wsparł głowę na oknie i patrzał: więc poprzez płatki śniegowe, jakby przez jakowąś zasłonę widział, jak Danusia siadała do sanek, jak księżna trzymała ją długo w objęciach, jak całowały ją dworki i jak ksiądz Wyszoniek żegnał ją znakiem krzyża na drogę. Obróciła się jeszcze przed samym odjazdem ku niemu i wyciągnęła ręce:

— Ostawaj z Bogiem, Zbyszku!

— Boże daj w Ciechanowie cię obaczyć...

Ale śnieg padał tak obfity, jakby chciał wszystko zgłuszyć i wszystko przesłonić, więc te ostatnie słowa doszły ich tak przytłumione, że obojgu wydało się, iż wołają na siebie — już z daleka.

XXV.

Po obfitych śniegach nastały ciężkie mrozy i dni pogodne, suche. Dniem bory iskrzyły się w promieniach słońca, lód popętał rzeki i ustalił bagna. Przyszły jasne noce, wśród których mróz wzmagał się do tego stopnia, że drzewa pękały z hukiem w lesie; ptactwo zbliżało się do domostw; drogi stały się niebezpieczne z powodu wilków, które jęły się zbierać w stada i napadać nietylko na pojedyńczych ludzi, lecz i na wsie. Lud jednak radował się w dymnych chatach przy ogniskach, przepowiadając po mroźnej zimie rok urodzajny i wesoło czekał świąt, które miały niebawem nadejść. Leśny dworzec książęcy opustoszał. Księżna wraz z dworem i księdzem Wyszońkiem wyjechała do Ciechanowa. Zbyszko, znacznie już zdrowszy, ale niedość jeszcze mocny, by na koń siąść, został w dworcu razem ze swymi ludźmi, z Sanderusem, z giermkiem Czechem i z miejscową

służbą, nad którą miała pozór stateczna szlachcianka, pełniąca obowiązki gospodyni.

Lecz dusza w rycerzu rwała się do młodej żony. Była mu wprawdzie niezmierną osłodą myśl, że Danusia już jest jego i żadna moc ludzka nie zdoła mu jej odjąć, ale z drugiej strony ta sama myśl potęgowała jego tęsknotę. Po całych dniach wzdychał do tej chwili, w której będzie mógł dworzec opuścić i rozważał, co wówczas ma uczynić, dokąd jechać i jak Juranda przejednać. Miewał też chwile ciężkiego niepokoju, ale wogóle przyszłość przedstawiała mu się radośnie. Kochać Danuśkę i łuskać helmy z pawiemi piórami — oto miało być jego życie. Częstokroć brała go ochota porozmawiać o tem z Czechem, którego polubił, ale zauważył, że Czech, oddany duszą całą Jagience, nierad rozmawiał o Danusi, on zaś, związany tajemnicą, nie mógł mu powiedzieć wszystkiego, co się stało.

Zdrowie jego polepszało się jednak z każdym dniem. Na tydzień przed Wigilią dosiadł po raz pierwszy konia i choć czuł, że nie mógłby jeszcze tego uczynić w zbroi, jednakże nabrał otuchy. Nie spodziewał się zresztą, by miała go zaskoczyć potrzeba prędkiego przywdziania pancerza i helmu, a w najgorszym razie tuszył, iż wkrótce będzie miał i na to dość sił. W izbie próbował dla zabicia czasu podnosić miecz i szło

mu nieźle; topór okazał się tylko dla niego za ciężki, mniemał wszelako, że chwyciwszy toporzysko w obie dłonie, zdołałby już skutecznie machnąć.

Nakoniec na dwa dni przed Wigilią kazał wymościć wozy, pokulbaczyć konie i oznajmił Czechowi, że pojadą do Ciechanowa. Wierny giermek zatroskał się nieco, zwłaszcza, że na dworze był mróz trzaskający, ale Zbyszko rzekł mu:

— Nie twoja głowa, Głowaczu (tak go bowiem z polska nazywał). Nic tu po nas w tym dworcu, a choćbym miał zachorzeć, toć starunku w Ciechanowie nie zabraknie. Wreszcie pojadę nie konno, ale w saniach, po szyję w sianie i pod skórami, a dopiero pod samym Ciechanowem na koń się przesiądę.

I tak się stało. Czech już przeznał swego młodego pana i wiedział, że niedobrze mu się przeciwiać, a jeszcze gorzej nie spełnić w lot rozkazu; więc w godzinę później ruszono. W chwili odjazdu Zbyszko, widząc Sanderusa, ładującego się na sanie wraz ze swoją skrzynią, rzekł mu:

— A ty czegoś się do mnie przyczepił, jak rzep do owczej wełny?... Mówiłeś, że chcesz do Prus.

— Mówiłem, że chcę do Prus — rzekł Sanderus — ale jakże mi tam samemu iść w takie

śniegi? Wilcy mnie zjedzą, nim pierwsza gwiazda zejdzie, a tu też nie mam po co ostawać. Wolej mi w mieście ludzi pobożnością budować, świętym towarem ich darzyć i z dyabelskich obieży ratować, jakom Ojcu wszystkiego chrześcijaństwa w Rzymie zaprzysiągł. A prócz tego, okrutniem waszą miłość pokochał, więc jej nie opuszczę przed odejściem do Rzymu, bo może się zdarzy i jakową przysługę oddać.

— Zawsze on za was, panie, gotów zjeść i wypić — rzekł na to Czech — i taką przysługę najbardziej radby oddać. Ale jeśli nas za wielka chmura wilków w przasnyskim boru opadnie, to im go rzucim na odprawę, bo na nic lepszego się nie przygodzi.

— A wy patrzcie, by wam grzeszne słowo do wąsów nie przymarzło — odparł Sanderus — gdyż takowe sople tylko w piekielnym ogniu topnieją.

— O wa! — rzekł Głowacz, sięgając rękawicą do wąsów, które ledwie poczynały mu się sypać — pierwej spróbuję zagrzać piwa na popasie, ale tobie go nie dam.

— A przykazanie jest: spragnionego napoić. Nowy grzech!

— To ci dam wiadro wody, a tymczasem naści, co mam pod ręką.

I tak mówiąc, nabrał śniegu, ile mógł dwiema

rękawicami objąć i rzucił nim w brodę Sanderusa, ale ów uchylił się i rzekł:

— Nic po was w Ciechanowie, bo tam już jest chowany niedźwiadek, co śniegiem praska.

Tak to oni przekomarzali się z sobą, dosyć się lubiąc wzajemnie. Zbyszko jednakże nie zabronił Sanderusowi jechać z sobą, albowiem cudaczny ów człowiek bawił go, a zarazem zdawał się być istotnie do niego przywiązany. Ruszyli więc z dworca leśnego jasnym rankiem, w mróz tak wielki, że trzeba było konie okrywać. Cała kraina leżała pod obfitym śniegiem. Dachy chat ledwie z pod niego było widać, a miejscami dymy zdawały się wychodzić wprost z białych zasp i szły w górę strzeliste, różowe od poranku, rozszerzone u szczytu w kiście, podobne do rycerskich pióropuszów.

Zbyszko jechał na wozie, raz dla oszczędzenia sił, a powtóre dla wielkiego zimna, przed którem łatwiej się było uchronić w wymoszczonych sianem i skórami wozach. Kazał też Głowaczowi przysiąść się do siebie i mieć kusze na podorędziu od wilków, tymczasem zaś gawędził z nim wesoło:

— W Przasnyszu — rzekł — jeno konie popasiem, rozgrzejem się i zaraz ruszymy dalej.

— Do Ciechanowa?

— Naprzód do Ciechanowa, państwu się pokłonić i nabożeństwa zażyć.

— A potem? — pytał Głowacz.

Zbyszko uśmiechnął się i odrzekł:

— Potem, kto wie, czy nie do Bogdańca.

Czech spojrzał na niego ze zdziwieniem. W głowie błysnęła mu myśl, że może młody pan wyrzekł się Jurandówny i wydało mu się to tem podobniejszem do prawdy, ponieważ Jurandówna wyjechała, o uszy zaś Czecha obiła się w leśnym dworcu wiadomość, że pan na Spychowie przeciwny był młodemu rycerzowi. Więc ucieszył się poczciwy giermek, bo chociaż miłował Jagienkę, ale patrzał na nią tak, jak na gwiazdę na niebie i radby był okupić jej szczęście choćby krwią własną. Zbyszka też pokochał i z całej duszy pragnął obojgu do śmierci służyć.

— To już wasza miłość osiędzie na dziedzinie — rzekł z radością.

— Jakże mi na dziedzinie siedzieć — odpowiedział Zbyszko — kiedym owych rycerzy krzyżackich pozwał, a przedtem jeszcze Lichtensteina? Mówił de Lorche, że ponoś mistrz ma króla w gościnę do Torunia zaprosić, to się do królewskich pocztów przyczepię i tak myślę, że w Toruniu pan Zawisza z Garbowa, alibo pan Powała z Taczewa wyprosi mi u pana na-

szego pozwoleństwo, abym się mógł na ostre z tymi mnichami potykać. Pewnikiem wystąpią oni z giermkami, więc i tobie przyjdzie się spotkać.

— Jużbym też chyba sam mnichem ostał, gdyby miało być inaczej — rzekł Czech.

Zbyszko spojrzał na niego z zadowoleniem.

— No i nie będzie temu dobrze, który ci się pod żelaziwo nawinie. Pan Jezus dał ci siłę okrutną, ale źlebyś uczynił, gdybyś nią zbytnio puszył, albowiem prawemu giermkowi pokora przystoi.

Czech począł kiwać głową na znak, że siłą nie będzie puszył, ale jej też i na Niemców nie poskąpi, a Zbyszko uśmiechał się w dalszym ciągu, ale już nie do giermka, tylko do własnych myśli.

— Stary pan będzie rad, gdy wrócim — rzekł po chwili Głowacz — i w Zgorzelicach też będą radzi.

Zbyszkowi stanęła Jagienka tak w oczach, jakby przy nim siedziała na sianach. Bywało to zawsze, że gdy wypadkiem o niej pomyślał, to widział ją ogromnie wyraźnie...

«Nie! — rzekł sobie — nie będzie ona rada, bo jeśli wrócę do Bogdańca, to z Danuśką, a ona niech bierze innego»... Tu mignęli mu przed oczyma: Wilk z Brzozowej i młody Cztan z Ro-

gowa — i nagle uczyniło mu się przykro na myśl, że dziewczyna może pójść w ręce jednego z tych dwóch. «Wolejby lepszego jakiego znalazła — mówił sobie w duszy — bo to piwożłopy i kostery, a dziewka uczciwa jest». Pomyślał też i o tem, że stryjowi, gdy się dowie o tem, co zaszło, będzie okrutnie markotno, ale pocieszył się wraz z myślą, że Maćkowi chodziło zawsze w pierwszym rzędzie o ród i o dostatki, które mogły znaczenie rodu podnieść. Jagienka była wprawdzie bliżej, bo o miedzę, ale za to Jurand większy był dziedzic od Zycha ze Zgorzelic, więc łatwo było przewidzieć, że Maćko nie będzie długo krzyw o taki związek, tem bardziej, że wiedział przecie o miłości bratanka i o tem, ile ów Danusi zawdzięcza... Pomruczy, a potem będzie rad i pocznie Danuśkę miłować, jak własne dziecko.

I nagle serce w Zbyszku poruszyło się przywiązaniem i tęsknotą do tego stryjca, który był człowiek twardy, a przecie tak go kochał, jak źrenicę oka: w bitwach jego więcej strzegł, niźli siebie, dla niego łup brał, dla niego zabiegał o majętność. Dwóch ich było oto samotników na świecie! — krewnych nawet nie mieli, chyba dalekich, jak opat, więc gdy bywało przyszło im się czasem rozłączyć, to jeden bez drugiego

nie wiedział, co począć, a zwłaszcza stary, który niczego już dla siebie nie pożądał.

— «Hej! będzie rad, będzie rad! — powtarzał sobie Zbyszko — tegobym jeno chciał, żeby mnie i Jurand tak przyjął, jako on mnie przyjmie».

I próbował sobie wyobrazić, co też powie i pocznie Jurand, gdy się o ślubie dowie. Było w tej myśli trochę niepokoju, ale niezbyt wiele, właśnie dlatego, że już klamka zapadła. Na bitkę nie wypadało przecie Jurandowi go wyzywać, gdyby zaś zbytnio się sprzeciwiał, to mógł mu Zbyszko odpowiedzieć tak: «Przystańcie, póki proszę, bo wasze prawo do Danuśki ludzkie, a moje Boskie — i nie wasza teraz ona, jeno moja». Coś tam zasłyszał w swoim czasie od pewnego kleryka, biegłego w Piśmie, że niewiasta powinna porzucić ojca i matkę, a pójść za mężem, więc czuł, że przy nim większa moc. Nie spodziewał się jednak, by między nim a Jurandem miało dojść aż do zaciętej niezgody i złości, liczył bowiem, że dużo wskórają prośby Danusi, a równie wiele, jeśli nie więcej, wstawiennictwo księcia, którego Jurand był podwładnym i księżny, którą miłował jako opiekunkę swego dziecka.

W Przasnyszu radzono im zostać na nocleg, ostrzegając ich przed wilkami, które z powodu

mrozów pozbijały się w stada tak wielkie, że napadały nawet gromadnie jadących ludzi. Zbyszko jednak nie chciał na to zważać, albowiem zdarzyło się, iż w gospodzie spotkali kilku rycerzy mazowieckich z pocztami, którzy też jechali do księcia do Ciechanowa i kilku zbrojnych kupców z samego Ciechanowa, prowadzących ładowne wozy z Prus. W tak wielkiej kupie nie było niebezpieczeństwa, więc ruszyli na noc, choć pod wieczór zerwał się nagle wiatr, nagnał chmur i poczęła się zadymka. Jechali, trzymając się blizko jedni drugich, ale tak wolno, iż Zbyszko począł myśleć, iż nie zdążą na wilię. W niektórych miejscach trzeba było rozkopywać zaspy, gdyż konie wcale nie mogły przejść. Szczęściem, droga leśna nie była błędna. Jednakże zmierzch już był na świecie, gdy dojrzeli Ciechanów.

Może nawet byliby jeździli wokół miasta wśród śnieżnych tumanów i poświstu wichrów, nie domyślając się, że są tuż, gdyby nie ognie, płonące na wzniesieniu, na którem budowano nowy zamek. Nikt już dobrze nie wiedział, czy w wigilię Bożego Narodzenia palono te ognie dla gości, czy dla jakiegoś starożytnego zwyczaju, ale też i nikt ze Zbyszkowych towarzyszów teraz o tem nie myślał, wszyscy bo-

wiem chcieli znaleźć jak najprędzej ochronę w mieście.

Tymczasem zamieć zwiększała się coraz bardziej. Ostry i mroźny wiatr niósł niezmierne tumany śnieżne, targał drzewami, huczał, szalał, podrywał całe zaspy, podnosił je w górę, skręcał, rozpylał, przykrywał niemi wozy, konie, ciął po twarzach podróżników, jakby ostrym piaskiem, tłumił im oddech w piersiach i mowę. Głosu kołatek, przytwierdzonych do dyszlów, nie było wcale słychać, natomiast w wyciu .i poświście wichury odzywały się jakieś głosy żałosne, jakby wycie wilcze, jakby odległe rżenie koni, a czasem jakby pełne trwogi ludzkie wołanie o ratunek. Wyczerpane konie poczęły się spierać bokami o siebie i iść coraz wolniej.

— Hej, kurzawa też to, kurzawa! — rzekł zdyszanym głosem Czech — szczęście, panie, żeśmy pod miastem i że owe ognie się palą, bo inaczej źleby było z nami.

— Kto w polu, temu śmierć — odrzekł Zbyszko — ale owo i ognia już nie widzę.

— Bo tuman taki, że i ogień nie prześwieci. A może rozmiotło drwa i węgle.

Na innych wozach rozmawiali także kupcy i rycerze, że kogo zamieć zdala od siedzib ludzkich ułapi, ten już dzwonów jutro nie usłyszy. Lecz Zbyszko zaniepokoił się nagle i rzekł:

— Nie daj Bóg, aby tam Jurand był gdzie w drodze.

Czech, lubo całkiem zajęty wpatrywaniem się w stronę ognisk, usłyszawszy słowa Zbyszka, odwrócił jednak głowę i zapytał:

— To pan ze Spychowa miał zjechać?

— Miał.

— Z panną?

— A ogień to ci naprawdę przesłoniło — odpowiedział Zbyszko.

I rzeczywiście płomień przygasł, ale natomiast na drodze tuż przy koniach i saniach zjawiło się kilku jeźdźców.

— A czego następujesz? — zawołał czujny Czech, chwytając kuszę — Kto wy?

— Ludzie książęcy, wysłani w pomoc podróżnym.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków.

— Prowadźcie do miasta! — ozwał się Zbyszko.

— Czy nikt z was nie ostał?

— Nikt.

— Skąd jedziecie?

— Od Przasnysza.

— A więcej podróżnych nie widzieliście po drodze?

— Nie widzieliśmy. Ale może znajdą się na innych gościńcach.

— Na wszystkich ludzie szukają. Jedźcie za nami. Zjechaliście z drogi. W prawo!

I zawrócili konie. Przez czas jakiś słychać było tylko szum wichru.

— Siła gości w starym zamku? — spytał po chwili Zbyszko.

Najbliższy jeździec, nie dosłyszawszy, pochylił się ku niemu:

— Jako zaś mówicie, panie?

— Pytam, czy siła gości u księstwa?

— Po staremu: jest dość!

— A dziedzica z Spychowa niema?

— Niema, ale go czekają. Pojechali też ludzie naprzeciw.

— Z kagankami?

— Gdzieby tam wiater pozwolił!

Lecz dalej nie mogli rozmawiać, bo szum zamieci wzmógł się jeszcze.

— Czyste dyabelskie wesele! — ozwał się Czech.

Zbyszko jednak kazał mu milczeć i paskudnego imienia nie wywoływać.

— Nie wiesz to — rzekł — że w takie święta dyabelska moc truchleje i że dyabły w przeręble się chowają? Jednego raz pod Sandomierzem rybacy przed wilią w niewodzie znaleźli:

trzymał szczupaka w pysku, ale jak go głos dzwonów doszedł, zaraz omdlał, oni zasie kijami go tłukli aż do wieczerzy. Jużci wichura tęga jest, ale to z Pana Jezusowego pozwoleństwa, który widać chce, żeby jutrzejszy dzień był tem radośniejszy.

— Ba! Byliśmy tuż pod miastem, a wszelako, gdyby nie ci ludzie, jeździlibyśmy może i do północka, gdyż jużeśmy z drogi zjechali — odpowiedział Głowacz.

— Bo ogień przygasł.

Tymczasem wjechali jednak rzeczywiście do miasta. Zaspy śniegowe leżały tam w ulicach jeszcze większe, tak wielkie, że w wielu miejscach zakrywały niemal okna, z którego to powodu, błądząc za miastem, nie mogli dojrzeć świateł. Ale natomiast wicher mniej tu dawał się we znaki. Na ulicach były pustki, mieszczanie siedzieli już przy wilii. Przed niektórymi domami chłopcy z jasełeczkami i z kozą śpiewali mimo zamieci kolędy. Na rynku też było widać ludzi, poowijanych w grochowiny i udających niedźwiedzi, ale wogóle było pusto. Kupcy, którzy towarzyszyli Zbyszkowi i innej szlachcie w drodze, zostali w mieście, owi zaś jechali dalej do starego zamku, w którym mieszkał książę i który mając już szyby szklane,

zajaśniał przed nimi wesoło, mimo zawiei, gdy podjechali bliżej.

Zwodzony most na rowie był spuszczony, gdyż dawne czasy litewskich napadów minęły, a Krzyżacy, przewidując wojnę z królem polskim, sami szukali przyjaźni księcia mazowieckiego. Jeden z ludzi książęcych zadął w róg i wnet otworzono bramę. Było przy niej kilkunastu łuczników, ale na murach i blankach ani żywej duszy, gdyż książę pozwolił strażom zejść. Naprzeciw gości wyszedł stary Mrokota, który już był przyjechał przed dwoma dniami i powitawszy ich w imieniu księcia, zaprowadził do izb, w których mogli się przybrać godnie do stołu.

Zbyszko począł go zaraz wypytywać o Juranda ze Spychowa, ów zaś odrzekł, że go niema, ale się go spodziewają, gdyż obiecał przecie przyjechać, a gdyby był zachorzał mocniej, to dałby znać. Wysłali jednak naprzeciw kilkunastu jeźdźców, bo takiej zawiei najstarsi ludzie nie pamiętają.

— To może niezadługo tu będą.

— Wiera, że niezadługo. Księżna kazała postawić dla nich miski przy wspólnym stole.

Więc Zbyszko, choć zawsze strach mu było trochę Juranda, uradował się w sercu i mówił sobie: «Choćby też nie wiem co czynił, tego

nie odrobi, że to żona moja przyjeżdża, moja niewiasta, moja Danuśka najmilsza!» I gdy sobie to powtarzał, ledwie własnemu szczęściu mógł uwierzyć. Poczem pomyślał, że może mu tam już wszystko wyznała, może go przejednała i uprosiła, żeby ją zaraz oddał. «Po prawdzie, to i cóż ma lepszego do zrobienia? Jurand jest chłop mądry i wie, że choćby mi jej bronił, to ją i tak wezmę, bo moje prawo mocniejsze».

Tymczasem, przybierając się, rozmawiał z Mrokotą, wypytując o zdrowie księcia, a szczególnie księżny, którą jeszcze od bytności w Krakowie pokochał jak matkę. Rad też był, dowiedziawszy się, że w zamku wszyscy zdrowi i weseli, chociaż księżna wielce po swojej miłej śpiewaczce tęskniła. Grywa jej teraz na lutence Jagienka, którą księżna dość lubi, ale już nie tak.

— Jaka Jagienka? — zapytał ze zdziwieniem Zbyszko.

— Jagienka z Wielgolasu, wnuczka starego pana z Wielgolasu. Gładka dziewka, w której się ów Lotaryńczyk rozkochał.

— To pan de Lorche tu jest?

— Gdzieby miał być? Przecie z leśnego dworca tu przyjechał i siedzi, bo mu dobrze. Nie brak naszemu księciu nigdy gości.

— Rad go obaczę, bo to rycerz, któremu w niczem nie przyganić.

— I on też was miłuje. Ale już chodźmy, gdyż księstwo wraz do stołu zasiędą.

I poszli. W sali stołowej w dwóch kominach paliły się wielkie ognie, nad którymi czuwali pachołkowie i roiło się już od gości i dworzan. Książę wszedł pierwszy w towarzystwie wojewody i kilku przybocznych. Zbyszko pochylił mu się do kolan, a następnie ucałował jego rękę.

On zaś ścisnął go za głowę, a następnie, odwiódłszy go nieco na stronę, rzekł:

— Juści o wszystkiem wiem. Mruczno mi było z początku, żeście to bez mego pozwoleństwa uczynili, ale po prawdzie nie było czasu, bom ja w oną porę był w Warszawie, gdzie i święta chciałem przepędzić. Wiadoma wreszcie rzecz, iż jak się niewiasta czego chyci, to się i nie przeciw, bo nic nie wskórasz. Księżna pani wam życzy jak matka, a i ja zawdy wolę jej dogodzić, niż się przeciwić, z takowej przyczyny, aby zaś smutku i płakania jej oszczędzić.

Zbyszko pochylił się po raz wtóry do kolan książęcych.

— Daj Bóg waszej książęcej miłości odsłużyć.

— Chwalić Jego imię, żeś już zdrów. Powiedzże księżnie, jakom cię życzliwie przyjął, to się niewiasta ucieszy. Boga mi! Jej uciecha — moja uciecha! Jurandowi za tobą dobre słowo też rzeknę i tak myślę, że pozwoleństwo da, bo on też księżnę miłuje.

— Choćby i nie chciał dać, to moje prawo pierwsze.

— Twoje prawo pierwsze i musi się zgodzić, ale błogosławieństwa może wam umknąć. Przemocą mu tego nikt nie wydrze, a bez rodzicielskiego błogosławieństwa nie masz i Boskiego.

Zatroskał się Zbyszko, usłyszawszy te słowa, gdyż dotąd o tem nie pomyślał. W tej chwili jednak weszła księżna z Jagienką z Wielgolasu i z innemi dworkami, więc skoczył pokłonić się pani, ona zaś powitała go jeszcze łaskawiej od księcia i zaraz poczęła mu mówić o spodziewanym przyjeździe Juranda. Oto misy dla nich zastawione, a ludzie wysłani, by ich przeprowadzić wśród zamieci. Z wieczerzą wigilijną czekać już dłużej nie podobna, bo «pan» tego nie lubi, ale oni pewnie zjadą, nim wieczerza się skończy.

— Co do Juranda — mówiła księżna — będzie wedle natchnienia Bożego. Albo mu powiem dziś wszystko, albo jutro po pasterce, a książę

też przyobiecał, że swoje słowo dołoży. Zawzięty bywa Jurand, ale nie dla tych, których miłuje i nie dla tych, którym powinien.

Tu poczęła mówić Zbyszkowi, jak się ma z teściem zachować, by go, broń Boże, nie urazić i do zawziętości nie przywieść. Była wogóle dobrej myśli, ale ktoby lepiej znał świat i patrzał bystrzej od Zbyszka, ten zauważyłby w słowach jej pewien niepokój. Może było tak dlatego, że pan ze Spychowa nie był wogóle człowiek łatwy, a może też poczęła się księżna trwożyć nieco tem, że ich tak długo nie było widać. Wieja stawała się na dworze coraz okrutniejsza i wszyscy mówili, że kogo w szczerem polu złapie, ten może i zostać; księżnie jednakże przychodziło do głowy i inne przypuszczenie: mianowicie, że Danuśka wyznała ojcu, iż jest już ślubem ze Zbyszkiem połączona, a ów, obraziwszy się, postanowił wcale do Ciechanowa nie przyjeżdżać. Nie chciała jednak pani zwierzyć się Zbyszkowi z tych myśli, a nawet nie było na to i czasu, gdyż pachołcy poczęli wnosić jadło i zastawiać je na stole. Zdążył wszelako Zbyszko podjąć ją jeszcze pod nogi i zapytać:

— A jeśli przyjadą, to jakoże będzie, miłościwa pani? Mówił mi Mrokota, że dla Juranda jest osobna izba, gdzie też i dla gierm-

ków znajdzie się siano na posłanie. Ale jakoże będzie?...

A księżna poczęła się śmiać i uderzywszy go z lekka rękawicą po twarzy, rzekła:

— Cichaj! Czegóż? Widzicie go!

I odeszła ku księciu, przed którym rękodajni wysunęli już krzesło, aby mógł na niem zasiąść. Przedtem jednak jeden z nich podał mu płaską misę, pełną cienko pokrajanego placka i opłatków, którymi książę miał się dzielić z gośćmi, dworzany i służbą. Drugą podobną trzymał dla księżny piękny wyrostek, syn kasztelana sochaczewskiego. Po przeciwnej stronie stołu stał ksiądz Wyszoniek, który miał błogosławić ustawioną na pachnącem sianie wieczerzę. A wtem we drzwiach ukazał się człowiek pokryty śniegiem i począł wołać głośno:

— Miłościwy panie!

— Czego? — rzekł książę, nie rad, iż mu przerywają obrządek.

— Na radzanowskim gościńcu całkiem przysypało jakichś podróżnych. Ludzi nam trzeba więcej, by ich odgrześć.

Zlękli się, usłyszawszy to wszyscy, zatrwożył się książę i zwróciwszy się do kasztelana sochaczewskiego, zakrzyknął:

— Konnych z łopatami, żywo!

Poczem do zwiastuna nowiny:

— Wiela przysypanych?

— Nie moglim zmiarkować. Dmie okrutnie. Są konie i wozy. Znaczny poczet.

— Nie wiecie, czyj zaś?

— Ludzie mówią: dziedzica ze Spychowa.

XXVI.

Zbyszko, usłyszawszy nieszczęsną nowinę, nie pytając nawet o pozwolenie księcia, skoczył do stajen i kazał konie siodłać. Czech, który jako szlachetnie urodzony giermek znajdował się z nim na sali, zaledwie zdołał wrócić do izby i przynieść ciepłą lisiurę; nie próbował jednakże młodego pana wstrzymywać, gdyż, mając z przyrodzenia rozum tęgi, wiedział, że wstrzymywać na nic się nie przyda, a mitręga może okazać się zgubną. Siadłszy na drugiego konia, pochwycił jeszcze w bramie od odźwiernego kilka pochodni i wnet ruszyli razem z książęcymi ludźmi, których wartko sprawił stary kasztelan. Za bramą ogarnęły ich nieprzebite ciemności, ale wichura wydawała im się mniejsza. Byliby może zaraz za miastem zbłądzili, gdyby nie ów człowiek, który pierwszy dał znać o wypadku, a który teraz prowadził ich tem szybciej i pewniej, że miał przy sobie psa, już poprzednio z drogą obeznanego. Na otwar-

tem polu wicher począł znowu siec ich ostro po twarzach, głównie jednak dlatego, że jechali w cwał. Gościniec był kopny, miejscami zaś tak zawiany, że trzeba było zwalniać, gdyż konie zapadały po brzuchy. Ludzie książęcy pozapalali pochodnie, kaganki i jechali wśród dymu i płomieni, w które wiatr dął z taką siłą, jakby je chciał oderwać od smolnych szczap i ponieść na pola i bory. Droga była daleka: minęli osady bliższe Ciechanowa, a następnie Niedzborz, poczem skierowali się w stronę Radzanowa. Za Niedzborzem burza poczęła jednak uciszać się rzeczywiście. Uderzenia wichru stały się słabsze i nie niosły już w sobie całych tumanów śnieżnych. Niebo pojaśniało. Z góry sypał jeszcze czas jakiś śnieg, ale wkrótce ustał. Potem tu i owdzie w szczelinach chmur błysnęła gwiazda. Konie poczęły parskać, jeźdźcy odetchnęli swobodniej. Gwiazd przybywało z każdą chwilą i brał mróz. Po upływie kilku pacierzy uciszyło się zupełnie.

Pan de Lorche, który jechał obok Zbyszka, jął go pocieszać, mówiąc, że niezawodnie Jurand w chwili niebezpieczeństwa myślał przedewszystkiem o ocaleniu córki i że choćby wszystkich odkopali zmarłych, ją znajdą niezawodnie żywą, a może i śpiącą pod skórami. Ale Zbyszko mało go rozumiał, a wreszcie nie miał

i czasu go słuchać, gdyż po niejakiej chwili przewodnik, jadący na przedzie, skręcił z gościńca.

Młody rycerz wysunął się naprzód i począł pytać:

— Czemu zbaczamy?

— Bo ich nie na gościńcu zasypało, jeno tam hen! Widzicie, panie, ten olszniak?

To rzekłszy, ukazał ręką ciemniejące w dali zarośla, które można było dojrzeć na białej płaszczyźnie śniegowej, gdyż chmury odsłoniły tarczę księżyca i noc stała się widna.

— Widać zjechali z gościńca.

— Zjechali z gościńca i jeździli w kółko wedle rzeki. W czasie wiei i zadymki łatwo się taka rzecz przygodzi. Jeździli i jeździli, póki konie nie ustały.

— Jakożeście ich znaleźli?

— Pies doprowadził.

— W pobliżu niema jakich chat?

— Są, ale po tamtej stronie rzeki. Tu zaraz Wkra.

— W konie! — zawołał Zbyszko.

Ale rozkazać było łatwiej, niż rozkaz wykonać, bo jakkolwiek brał ostry mróz, na łące jednak leżał śnieg niezamarzły jeszcze, sypki, świeżo nawiany i głęboki, w którym konie zapadały wyżej kolan; musieli więc posuwać się

zwolna. Nagle doszło ich szczekanie psa, wprost zaś przed nimi zamajaczył gruby i garbaty pień wierzby, nad którym połyskiwała w świetle księżyca korona bezlistnych prętów.

— Tamci są dalej — rzekł przewodnik — w pobliżu olszniaka; ale i tu coś musi być.

— Jest zaspa pod wierzbą. Poświećcie!

Kilku ludzi książęcych zsiadło z koni i poczęło świecić pochodniami, poczem zaraz jeden zawołał:

— Człowiek pod śniegiem! Widać głowę, ot tu!

— Jest i koń! — zawołał zaraz drugi.

— Odkopać!

Łopaty poczęły zanurzać się w śnieg i odrzucać go na obie strony.

Po chwili ujrzano siedzącą pod drzewem postać ludzką, ze schyloną na piersi głową i czapką, głęboko zasuniętą na twarz. Jedna ręka trzymała lejce konia, który leżał obok z nozdrzami zarytemi w śnieg. Widocznie człowiek odjechał od orszaku, może dlatego, by dostać się prędzej do mieszkań ludzkich i sprowadzić pomoc, a gdy koń mu padł, wówczas schronił się pod wierzbę po stronie przeciwnej od wiatru i tam skrzepł.

— Poświeć! — zawołał Zbyszko.

Pachołek przysunął pochodnię do twarzy zmarzłego, ale rysów trudno było zrazu rozę-

znać. Dopiero gdy drugi pachoł uniósł pochyloną głowę do góry, ze wszystkich piersi wyrwał się jeden okrzyk:

— Pan ze Spychowa!

Zbyszko kazał go porwać dwom ludziom i ratować w najbliższej chacie, sam zaś, nie tracąc chwili, skoczył wraz z pozostałą służbą i przewodnikiem na ratunek reszty orszaku. Po drodze myślał, że tam znajdzie Danuśkę, żonę swoją, może nieżywą — i wypierał ostatni dech z konia, który buchał się w śniegu po piersi. Szczęściem nie było już daleko, najwyżej kilka stajań. Z ciemności ozwały się głosy: «Bywaj!» — ludzi, którzy poprzednio zostali przy zasypanych. Zbyszko dopadł i zeskoczył z konia:

— Do łopat!

Dwoje sani było już odkopanych przez tych, którzy pozostali na straży. Konie i ludzie w nich zmarzli bez ratunku. Gdzie są inne zaprzęgi, można było poznać po pagórkach śnieżnych, chociaż nie wszystkie sanie były całkiem pokryte. Przy niektórych widać było konie, brzuchami wsparte o zaspy, rwące się jakby do biegu, zakrzeple w ostatniem wysileniu. Przed jedną parą stał człowiek z dzidą w ręku, zanurzony po pas w śniegu, nieruchomy jak słup; w dalszych pachołkowie pomarli przy koniach,

trzymając je przy pysku. Śmierć ich zaskoczyła widocznie w chwili, gdy chcieli wydobywać konie ze śnieżystych zawałów. Jeden zaprząg na samym końcu orszaku całkiem był nieprzysypany. Woźnica siedział skulony na przedzie z rękoma przy uszach, zaś w tyle leżało dwóch ludzi; długie rzuty śniegowe, nawiane wpoprzek ich piersi, łączyły się z zaspą, leżącą obok i przykrywały ich jak pościel, a oni zdawali się spać cicho i spokojnie. Lecz inni poginęli, walcząc do ostatka z zawieją, albowiem skrzepli w postawach pełnych wysilenia. Kilka sań było wywróconych; u niektórych połamane dyszle. Łopaty odkrywały co chwila grzbiety końskie, wyprężone jak łuki, lub łby, wbite zębami w śnieg, ludzi w saniach i obok sań, lecz na żadnych nie znaleziono niewiast. Zbyszko chwilami pracował łopatą, aż pot zlewał mu czoło; chwilami świecił w oczy trupom, z bijącem sercem, czy nie ujrzy między nimi kochanej twarzy — wszystko napróżno! Płomień oświecał tylko groźne wąsate twarze spychowskich zabijaków — ni Danusi, ni żadnej innej niewiasty nie było nigdzie.

— Co to jest? — pytał się siebie ze zdumieniem młody rycerz.

I wołał na ludzi pracujących opodal, pytając, czy czego nie odkryli; lecz ci odkrywali

samych mężów. Wreszcie robota była skończona. Pachołkowie pozaprzęgali do sani własne konie i siadłszy na kozły, ruszyli z trupami ku Niedzborzu, by tam w ciepłym dworze próbować jeszcze, czyli którego ze zmarłych nie będzie można przywrócić do życia. Zbyszko z Czechem i dwoma ludźmi pozostał. Na myśl mu przyszło, że może sanie z Danusią odłączyły się od orszaku, może Jurand, jeśli, jak należało się spodziewać, zaprzężone były w konie najlepsze, kazał im jechać naprzód, a może zostawił je gdzie przy chacie po drodze. Zbyszko sam nie wiedział, co ma począć; w każdym razie chciał przepatrzyć poblizkie zaspy, olszniak, a potem nawrócić i szukać po gościńcu.

Ale w zaspach nie znaleziono nic. W olszniaku błysnęły im jeno kilkakroć świeczki wilcze, nigdzie jednak nie trafili na ślady ludzi i koni. Łąka między olszniakiem a gościńcem lśniła się teraz w blasku księżyca i na białej, smutnej jej powierzchni widać było wprawdzie zdala tu i ówdzie kilka ciemniejszych plam, ale były to także wilki, które za zbliżeniem się ludzi poczynały szybko umykać.

— Wasza miłość! — rzekł wreszcie Czech — próżno tu jeździm i szukamy, bo panny ze Spychowa nie było w orszaku.

— Na gościniec! — odpowiedział Zbyszko.

— Nie znajdziem i na gościńcu. Patrzałem ja dobrze, czy na których saniach nie było jakowych łubów, a w nich białogłowskich przyodziewków. Nie było nic. Panna ostała w Spychowie.

Zbyszka uderzyła trafność tej uwagi, więc odrzekł:

— Daj Bóg, aby tak było, jako mówisz.

A Czech poszedł jeszcze głębiej po rozum do głowy:

— Gdyby była gdzie w saniach, starszy pan nie byłby od niej odjechał, albo odjeżdżając, wziąłby ją przed siebie na koń i bylibyśmy ją przy nim znaleźli.

— Jedźmy tam jeszcze raz — rzekł Zbyszko zaniepokojonym głosem.

Na myśl bowiem przyszło mu, że może i było tak, jak mówił Czech. Nuż nie szukali dość starannie! Nuż Jurand wziął przed siebie na konia Danusię, a potem, gdy koń padł, Danusia odeszła od ojca, chcąc znaleźć dla niego jakowąś pomoc. W takim razie mogła znajdować się gdzie pod śniegiem w pobliżu.

Ale Głowacz, jakby odgadłszy te myśli, powtórzył:

— W takim razie znalazłby się na saniach przyodziewek, boć nie jechałaby na dwór jeno w tych szatach, które na sobie miała.

Mimo tej słusznej uwagi pojechali jednakże pod wierzbę, ale ni pod nią, ni na staje wokoło nie znaleźli nic. Juranda już byli zabrali ludzie książęcy do Niedzborza i wokół było pusto zupełnie. Czech zauważył jeszcze, że pies, który biegł przy przewodniku i który znalazł Juranda, byłby znalazł i panienkę. Wówczas Zbyszko odetchnął, nabrał bowiem niemal pewności, że Danusia została w domu. Umiał nawet zdać sobie sprawę, dlaczego się tak stało: oto Danusia widocznie wyznała wszystko ojcu, ów zaś, nie zgodziwszy się na małżeństwo, umyślnie ostawił ją w domu, sam zaś przyjechał wytoczyć sprawę przed księcia i szukać jego wstawiennictwa do biskupa. Na tę myśl Zbyszko nie mógł oprzeć się uczuciu pewnej ulgi, a nawet i radości, gdyż zrozumiał, że ze śmiercią Juranda znikły wszelkie przeszkody. «Jurand nie chciał, ale Pan Jezus chciał — rzekł sobie młody rycerz — i wola Boska zawsze mocniejsza». Teraz jechać mu tylko do Spychowa i brać Danuśkę, jak swoją, a potem jeno ślub spełnić, który też na samem pograniczu łatwiejszy był do spełnienia, niż w dalekim Bogdańcu. «Wola Boska! wola Boska!» — powtarzał sobie w duszy. Nagle jednak zawstydził się tej prędkiej radości i zwróciwszy się do Czecha, rzekł:

— Juści mi go żal i głośno to przyświadczam.

— Ludzie mówili, że Niemcy bały się go, jak śmierci — odrzekł giermek.

Po chwili zaś zapytał:

— Wrócim teraz do zamku?

— Przez Niedzborz — odpowiedział Zbyszko.

Jakoż wstąpili do Niedzborza i zajechali przede dwór, w którym przyjął ich stary dziedzic Żelech. Juranda już nie znaleźli, lecz Żelech powiedział im dobrą nowinę:

— Tarli go tu śniegiem ledwie nie do kości — rzekł — i wino mu wlewali w gębę, a potem parzyli go w łaźni, gdzie też począł i dychać.

— Żyje? — zapytał z radością Zbyszko, który na tę wieść zapomniał o swoich własnych sprawach.

— Żyje, ale czy wyżyje, Bóg wie, bo dusza nie rada z pół drogi wracać.

— Czemu zaś go powieźli?

— Bo przysłali od księcia. Co było pierzyn w domu, to go niemi przykryli i powieźli.

— A nie powiadał o córce nic?

— Ledwie, że zaczął dychać; mowy nie odzyskał.

— A inni?

— A inni u Boga już za piecem. Nie będą niebożęta na pasterce, chyba na tej, którą sam Pan Jezus w niebie odprawi.

— Żaden nie ożył?

— Żaden. Chodźcie do izby, miast w sieni rozmawiać. A jeśli chcecie ich widzieć, to leżą wedle ognia w czeladnej. Chodźcie do izby.

Lecz oni spieszyli się i nie chcieli wejść, choć stary Żelech ciągnął ich, bo rad łapał ludzi, aby z nimi «ugwarzyć». Mieli jeszcze z Niedzborza do Ciechanowa szmat drogi i Zbyszka paliło, jak ogniem, by co prędzej zobaczyć Juranda i czegoś się od niego dowiedzieć.

Jechali więc jak mogli spiesznie po zawianym gościńcu. Gdy przyjechali, było już po północy i pasterka kończyła się właśnie w zamkowej kaplicy. Do uszu Zbyszka doszedł ryk wołów i beczenie kóz, które to głosy udawali wedle starego zwyczaju pobożni na pamiątkę tego, że Pan urodził się w stajence. Po mszy przyszła do Zbyszka księżna z twarzą stroskaną, pełną przestrachu i poczęła wypytywać:

— A Danuśka?

— Niemasz jej. Zali Jurand nie przemówił, bo jako słyszałem, żyje?

— Jezusie miłosierny!... Kara to Boska i gorze nam! Nie przemówił Jurand i leży jak drewno.

— Nie bójcie się, miłościwa pani. Danuśka ostała w Spychowie.

— Skąd wiesz?

— Bo w żadnych saniach ni śladu przy-

odziewku. Nie byłby ci jej przecie wiózł w jednej kożuszynie.

— Prawda, jak mi Bóg miły!

I wnet oczy poczęły jej błyskać radością, a po chwili zawołała:

— Hej, Jezusiczku, coś się dziś narodził, nie gniew widać Twój, jeno błogosławieństwo jest nad nami.

Zastanowiło ją jednak przybycie Juranda bez dziewczyny, więc pytała dalej.

— Czemuby zaś miał ją ostawiać?

Zbyszko wyłuszczył jej swoje domysły. Wydały się jej one słuszne, ale nie przejmowały jej zbytnią obawą.

— Będzie nam teraz Jurand życie zawdzięczał — rzekła — a po prawdzie, to i tobie, boś i ty jeździł go odgrzebywać. Jużby też kamień chyba w piersi miał, żeby się dłużej upierał! Jest też w tem dla niego i przestroga Boska, by z Sakramentem świętym nie wojował. Jak tylko się obaczy a przemówi, zaraz mu to powiem.

— Trzeba, żeby się pierwej obaczył, gdyż jeszcze nie wiadomo, dlaczego Danuśki nie wziął. A nuż chora?

— Nie powiadaj byle czego! I tak mi markotno, że jej niema. Żeby była chora, toby jej nie odjechał!

— Prawda! — rzekł Zbyszko.

I poszli do Juranda. W izbie gorąco było jak w łaźni i widno zupełnie, gdyż na kominie paliły się ogromne kłody sosnowe. Ksiądz Wyszoniek czuwał nad chorym, który leżał na łożu pod niedźwiedziemi skórami, z twarzą bladą, z polepionymi od potu włosami i z zamkniętemi oczyma. Usta miał otwarte i robił piersiami, jakby z trudem, ale tak silnie, że aż skóry, któremi był nakryty, podnosiły się i opadały od oddechu.

— Jako-że jest? — spytała księżna.

— Wlałem mu dzbaniec grzanego wina w gębę — odrzekł ksiądz Wyszoniek — i poty na niego przyszły.

— Śpi, czy nie śpi?

— Może i nie śpi, bo bokami okrutnie robi.

— A próbowaliście do niego gadać?

— Próbowałem, ale nie odpowiada nic i tak myślę, że przed świtaniem nie przemówi.

— Będziem czekać świtania — rzekła księżna.

Ksiądz Wyszoniek jął nalegać, by udała się na spoczynek, ale ona nie chciała go słuchać. Chodziło jej zawsze i we wszystkiem o to, by dorównać w cnotach chrześcijańskich, a zatem i w doglądaniu chorych, zmarłej królowej Jadwidze i odkupić swemi zasługami duszę ojca; nie pomijała więc żadnej sposobności, by w chrze-

ścijańskim od wieków kraju okazać się gorliwszą od innych i tem zatrzeć pamięć, że urodziła się w pogaństwie.

A oprócz tego paliła ją chęć, by dowiedzieć się czegoś z ust Juranda o Danusi, nie była bowiem zupełnie o nią spokojna. Siadłszy więc przy jego łożu, poczęła odmawiać różaniec, a następnie i drzemać. Zbyszko, który nie był jeszcze zupełnie zdrów, a w dodatku strudził się nad miarę jazdą nocną, poszedł wkrótce za jej przykładem i po upływie godziny posnęli oboje tak mocno, że byliby może dospali do białego dnia, gdyby nie to, że o świtaniu obudził ich głos dzwonka w zamkowej kaplicy.

Ale głos ów rozbudził i Juranda, który otworzył oczy, siadł nagle na łożu i jął rozglądać się wokół, mrugając przytem oczyma.

— Pochwalony Jezus Chrystus!... Jakoże wam? — rzekła księżna.

Lecz on widocznie nie oprzytomniał jeszcze, gdyż patrzał na nią, jakby jej nie poznawał i po chwili zawołał:

— Bywaj! bywaj! rozkopać zaspę!

— W imię Boże! jużeście w Ciechanowie! — ozwała się znów pani.

Jurand zaś zmarszczył czoło, jak człowiek, który z trudem zbiera myśli i odrzekł:

— W Ciechanowie?... Dziecko czeka i... księstwo... Danuśka! Danuśka!...

I nagle, zamknąwszy oczy, upadł znów na wezgłowie. Zbyszko i księżna zlękli się, czy nie umarł, lecz w tej samej chwili piersi jego poczęły się poruszać głębokim oddechem, jak u człowieka, którego pochwycił twardy sen.

Ojciec Wyszoniek przyłożył palec do ust i dał znak ręką, by go nie budzić, poczem szepnął:

— Może tak prześpi cały dzień.

— Tak, ale co on mówił? — zapytała księżna.

— Mówił, że dziecko czeka w Ciechanowie — odpowiedział Zbyszko.

— Bo się nie opamiętał — objaśnił ksiądz.

XXVII.

Ojciec Wyszoniek obawiał się nawet, czy i po powtórnem rozbudzeniu nie chwyci Juranda dur i nie odejmie mu na długo przytomności. Tymczasem obiecał księżnie i Zbyszkowi, że im da znać, gdy stary rycerz przemówi, a po ich odejściu sam udał się na spoczynek. Jakoż Jurand rozbudził się dopiero w drugie święto przed samem południem, ale za to zupełnie przytomny. Księżna i Zbyszko byli przy tem obecni, więc on, siadłszy na łożu, spojrzał na nią, poznał i rzekł:

— Miłościwa pani... Dla Boga, tom ja w Ciechanowie?

— I przespaliście święto — odrzekła pani.

— Śniegi mnie przysypały. Kto mnie zratował?

— Ten rycerz: Zbyszko z Bogdańca. Pamiętacie, w Krakowie...

A Jurand popatrzał chwilę swojem zdrowem okiem na młodzieńca i rzekł:

— Pamiętam... A gdzie Danuśka?

— Nie jechała przecie z wami? — spytała z niepokojem księżna.

— Jakże miała ze mną jechać, kiedy to ja do niej jechał?

Zbyszko i księżna spojrzeli po sobie, w mniemaniu, że to jeszcze gorączka mówi przez usta Jurandowe, poczem pani rzekła:

— Ocknijcie się na miły Bóg! Nie było-li z wami dziewczyny?

— Dziewczyny? Ze mną? — spytał ze zdumieniem Jurand.

— Bo wasi ludzie poginęli, ale jej między nimi nie znaleźli. Czemuście ją ostawili w Spychowie?

Ow zaś powtórzył jeszcze raz, ale już z trwogą w głosie:

— W Spychowie? Toć ona przy Was, Miłościwa Pani, nie przy mnie!

— Przecie przysłaliście po nią do leśnego dworca ludzi i pismo!

— W imię Ojca i Syna! — odpowiedział Jurand. — Zgoła po nią nie posyłałem.

Wówczas księżna przybladła nagle:

— Co to jest? — rzekła — zali wyście pewni, że przytomnie mówicie?

— Na miłosierdzie Boskie, gdzie dziecko? — zawołał, zrywając się, Jurand.

Ojciec Wyszoniek, usłyszawszy to, wyszedł pospiesznie z izby, a księżna mówiła dalej:

— Słuchajcie: przybył poczet zbrojny i pisanie od was do leśnego dworca po Danuśkę. W piśmie było, że was belki w pożarze przytłukły... żeście nawpół oślepli i że chcecie dziecko widzieć... Wzięli Danuśkę i pojechali...

— Gorze! — zawołał Jurand. — Jako Bóg na niebie, tak ni ognia nijakiego w Spychowie nie było, ni ja po nią nie posyłałem!

A wtem wrócił ksiądz Wyszoniek z listem, który podał Jurandowi i zapytał:

— Nie waszego to księdza pisanie?

— Nie wiem.

— A pieczęć?

— Pieczęć moja. Co w piśmie stoi?

Ojciec Wyszoniek odczytał pismo, Jurand słuchał, chwytając się za włosy, poczem rzekł:

— Pismo zmyślone!... pieczęć udana! Gorze duszy mojej! Chwycili mi dziecko i zatracą!

— Kto?

— Krzyżaki!

— Rany Boskie! Księciu trzeba oznajmić! Niech posłów śle do mistrza! — zawołała pani — Jezu miłosierny, ratujże ją i wspomagaj!...

I to rzekłszy, wybiegła z krzykiem z izby.

Jurand wyskoczył z łoża i począł gorączkowo wciągać szaty na swój olbrzymi grzbiet. Zbyszko siedział, jak skamieniały, ale po chwili zaciśnięte zęby jego poczęły zgrzytać złowrogo.

— Skąd wiecie, że Krzyżaki ją porwały? — zapytał ksiądz Wyszoniek.

— Na Mękę Bożą przysięgnę!

— Czekajcie!... Może być. Przyjeżdżali skarżyć się na was do leśnego dworca... Chcieli pomsty na was...

— I oni ją porwali! — zawołał nagle Zbyszko.

To rzekłszy, wybiegł z izby i poskoczywszy do stajen, kazał zaprzęgać wozy i konie siodłać, sam nie wiedząc dobrze, dlaczego to czyni. Rozumiał tylko, że trzeba iść na ratunek Danusi — i to zaraz — i aż do Prus — i tam wyrwać ją z wrogich rąk, albo zginąć.

Poczem wrócił do komnaty, by powiedzieć Jurandowi, że oręż i konie zaraz będą gotowe. Był pewien, że i Jurand z nim pojedzie. W sercu wrzał mu gniew, ból i żal, ale jednocześnie nie tracił nadziei, zdawało mu się bowiem, że we dwóch z groźnym rycerzem ze Spychowa potrafią wszystkiego dokazać i że mogą się porwać choćby na całą potęgę krzyżacką.

W izbie prócz Juranda, ojca Wyszońka i pani zastał także księcia i pana de Lorche, oraz starego pana z Długolasu, którego książę, dowie-

dziawszy się o sprawie, wezwał także na naradę, a to dla jego rozumu i doskonałej znajomości Krzyżaków, u których przesiedział długie lata w niewoli.

— Potrzeba poczynać roztropnie, by zaś zapalczywością nie zgrzeszyć i dziewki nie zgubić — mówił pan z Długolasu. — Mistrzowi należy się zaraz poskarżyć i jeśli W. Ks. Mość da do niego pisanie, to ja pojadę.

— Pisanie dam i wy z niem pojedziecie — rzekł książę. — Nie damy dziecku zginąć, tak mi dopomóż Bóg i święty krzyż. Mistrz boi się wojny z królem polskim i chodzi mu o to, by sobie i Semka, brata mego i mnie zjednać... Już-ci nie z jego rozkazania ją porwano i nakaże ją oddać.

— A jeśli z jego rozkazania? — spytał ksiądz Wyszoniek.

— Chociaż to Krzyżak, więcej w nim uczciwości, niż w innych — odrzekł książę — i jakom wam rzekł, prędzejby on mi teraz chciał wygodzić, niż mnie rozgniewać. Potęga Jagiełłowa nie śmiech... Hej! zalewali oni nam sadła za skórę, póki mogli, ale ninie obaczyli się, że jak jeszcze i my Mazury pomożem Jagielle, to będzie źle...

Lecz pan z Długolasu począł mówić:

— Prawda jest. Krzyżaki po próżnicy ni-

czego nie czynią; to też tak miarkuję, że jeśli dziewkę porwali, to jeno dlatego, by Jurandowi miecz z rąk wytrącić i alibo wykup wziąć, alibo ją wymienić.

Tu zwrócił się do pana ze Spychowa.

— Kogo macie teraz z jeńców?

— De Bregowa — odpowiedział Jurand.

— Znacznyż to kto?

— Widzi się, znaczny.

Pan de Lorche, usłyszawszy nazwisko de Bregowa, począł o niego wypytywać i dowiedziawszy się, o co idzie, rzekł:

— To krewny hrabiego Geldryi, wielkiego dobrodzieja Zakonu i z rodu Zakonowi zasłużonego..

— Tak jest — rzekł pan z Długolasu, przetłómaczywszy obecnym jego słowa. — De Bregowowie wielkie piastowali dostojeństwa w Zakonie.

— A przecież Danveld i de Löwe okrutnie się o niego upominali — rzekł książę. — Co który gębę otworzył, to mówił, że de Bregow musi być wolny. Jako Bóg w niebie, tak niechybnie po to oni dziewkę porwali, by de Bregowa wydostać.

— Zaczem ją i oddadzą — rzekł ksiądz.

— Ale lepiejby wiedzieć, gdzie jest — rzekł pan z Długolasu. — Bo dajmy, że mistrz spyta,

komu mam rozkazać, by ją oddał? Cóż mu powiemy?

— Gdzie jest? — rzekł głucho Jurand. — Nie trzymają oni jej pewnie na pograniczu, ze strachu, bym jej nie odbił, jeno gdzieś ją na dalekie mierzeje wiślane albo morskie wywieźli.

A Zbyszko rzekł:

— Znajdziem ją i odbijem.

Lecz książę wybuchnął nagle tłumionym gniewem:

— Z dworca mojego psubraty ją porwały, przeto i mnie pohańbiły, a tego im nie daruję, pókim żyw. Dość mi ich zdrad! dość napastliwości! Wolej każdemu wilkołaków mieć za sąsiadów! Ale teraz musi mistrz tych komturów pokarać i dziewkę wrócić, a do mnie posłów z przeprosinami słać. Inaczej, wici roześlę!

Tu uderzył pięścią w stół i dodał:

— O wa! Brat z Płocka pójdzie za mną i Witold i króla Jagiełłowa potęga. Dość folgi! Świętyby cierpliwość przez nozdrza wyparsknął. Już mi dość!

Umilkli wszyscy, czekając z naradą, póki się w nim gniew nie uspokoi, Anna Danuta zaś ucieszyła się, że książę bierze tak do serca sprawę Danusi, albowiem wiedziała, iż był cierpliwy, ale i zawzięty i że gdy raz co przedsięweźmie, to już nie zaniecha, póki na swojem nie postawi.

Poczem zabrał głos ksiądz Wyszoniek.

— Był niegdyś w Zakonie posłuch — rzekł — i żaden komtur nie śmiał bez pozwoleństwa kapituły i mistrzowego nic na swoją rękę poczynać. Dlatego Bóg podał w ich ręce kraje tak znaczne, że prawie ich nad wszelką inną ziemską potęgę wywyższył. Ale teraz niemasz między nimi ni posłuchu, ni prawdy, ni uczciwości, ni wiary. Nic, jeno chciwość a złoba taka, jakoby wilkami, nie ludźmi, byli. Jakże im słuchać przykazań mistrza, albo kapituły, skoroć i Boskich nie słuchają? Każdy na swoim zamku jako książę udzielny siedzi i jeden drugiemu w złem pomaga. Poskarżym się mistrzowi, a oni się zaprą. Mistrz każe im dziewkę oddać, a oni nie oddadzą, albo też rzekną: «Niemasz jej u nas, bośmy jej nie porywali». Każe im przysiądz, to i przysięgną. Co tedy nam robić?

— Co robić? — rzekł pan z Długolasu. — Niech Jurand jedzie do Spychowa. Jeśli ją porwali dla okupu, albo, by ją na de Bregowa wymienić, to muszą dać znać i dadzą znać nie komu innemu, jeno Jurandowi.

— Porwali ją ci, którzy do leśnego dworca przyjeżdżali — rzekł ksiądz.

— To ich mistrz pod sąd odda, albo każe im pole Jurandowi dać.

— Pole — zawołał Zbyszko — mnie muszą dać, bom ja ich wpierw pozwał!

A Jurand odjął ręce od twarzy i zapytał:

— Którzy to byli w leśnym dworcu?

— Był Danveld i stary de Löwe i dwóch braci: Gotfryd i Rotgier — odpowiedział ksiądz. — Skarżyli się i chcieli, by książę wam rozkazał de Bregowa z niewoli wypuścić. Ale książę dowiedziawszy się od Fourcego, że Niemcy to pierwsi was napadli, zgromił ich i z niczem odprawił.

— Jedźcie do Spychowa — rzekł książę — bo oni tam się zgłoszą. Nie uczynili tego dotąd dlatego, że Danveldowi giermek tego oto młodego rycerza ramię pokruszył, gdy im pozwanie woził. Jedźcie do Spychowa, a jak się zgłoszą, to mnie dawajcie znać. Oni wam dziecko za de Bregowa odeślą, ale ja przeto pomsty nie poniecham, bo i mnie pohańbili, z dworca ją mojego biorąc.

Tu gniew począł go chwytać na nowo, gdyż istotnie Krzyżacy wyczerpali wszelką jego cierpliwość, i po chwili dodał:

— Hej! dmuchali i dmuchali w ogień, ale w końcu pyski poparzą.

— Zaprą się! — powtórzył ksiądz Wyszoniek.

— Jak raz Jurandowi oznajmią, że dziewka u nich, to się nie będą mogli zaprzeć — odpo-

wiedział nieco niecierpliwie Mikołaj z Długolasu. — Wierzę, że jej na pograniczu nie trzymają i że, jako słusznie wymiarkował Jurand, do dalszych zamków, albo na morskie mierzeje ją wywieźli, ale gdy będzie dowód, że to oni, to się przed mistrzem nie zaprą.

A Jurand począł powtarzać jakimś dziwnym i zarazem strasznym głosem:

— Danveld, Löwe, Gotfryd i Rotgier...

Mikołaj z Długolasu polecił jeszcze wysłać bywałych a przebiegłych ludzi do Prus, aby się w Szczytnie i Insborku wywiedzieli, czy Jurandówna tam jest, a jeśli nie, to dokąd została wywieziona; poczem książę wziął kostur w rękę i wyszedł, by wydać odpowiednie rozkazy, księżna zaś zwróciła się do Juranda, chcąc go dobrem słowem pokrzepić:

— Jakoże wam jest? — spytała.

Ów zaś przez chwilę nic nie odpowiedział, jakby nie słyszał pytania, a potem nagle rzekł:

— Jakoby mnie kto w dawną ranę ugodził.

— Ale ufajcie w miłosierdzie Boskie; wróci Danuśka, jeno im de Bregowa oddajcie.

— Nie pożałowałbym im i krwi.

Księżna zawahała się, czyby mu zaraz o ślubie nie wspomnieć, ale pomyślawszy nieco, nie chciała przyrzucać nowego zmartwienia do ciężkich już i tak nieszczęść Juranda i przytem

ogarnął ją jakiś strach. «Będą jej szukali ze Zbyszkiem, niech mu Zbyszko przy sposobności powie — rzekła sobie — a ninie w głowieby się mu mogło do reszty pomieszać». Więc wolała mówić o czem innem.

— Wy nas nie winujcie — rzekła. — Przyjechali ludzie w waszych barwach, z pismem z waszą pieczęcią, oznajmującem, jakoście chorzy, jako oczy wam gasną i jako na dziecko raz jeszcze spojrzeć chcecie. Jakże się było przeciwić i ojcowego przykazania nie spełnić?

Jurand zaś podjął ją pod nogi.

— Ja nikogo nie winuję, Miłościwa Pani.

— I to wiedzcie, że ją Bóg wam odda, bo oko jego jest nad nią. Ześle on jej poratowanie, jako na ostatnich łowach zesłał, gdy srogi tur na nas uderzył, a Pan Jezus natchnął Zbyszka, żeby nas bronił. Sam ci o mało nie stradał żywota i długo potem chorzał, ale Danuśkę i mnie obronił, za co mu książę dał pas i ostrogi. Widzicie!... Ręka Boska jest nad nią. Myślałam, że z wami przyjedzie, że ją obaczę najmilszą, a tymczasem...

I głos jej zadrżał i łzy puściły się z oczu, a w Jurandzie tłumiona dotychczas rozpacz zerwała się na chwilę, nagła i straszna, jak wicher. Chwycił rękoma swe długie włosy, a głową po-

czął bić w belki ściany, jęcząc i powtarzając chrapliwym głosem:

— Jezu! Jezu! Jezu!...

Lecz Zbyszko skoczył ku niemu i potrząsnąwszy go z całą siłą za ramiona, zawołał:

— W drogę nam! Do Spychowa!

XXVIII.

— Czyj to poczet? — zapytał nagle Jurand, ocknąwszy się za Radzanowem z zamyślenia, jakby ze snu.

— Mój — odpowiedział Zbyszko.

— A ludzie moi wszyscy poginęli?

— Widziałem ich nieżywych w Niedzborzu.

— Niemasz starych towarzyszów!

Zbyszko nie odrzekł nic i jechali dalej w milczeniu a szybko, gdyż chcieli jak najprędzej być w Spychowie, spodziewając się, że może tam zastaną jakich wysłanników krzyżackich. Na szczęście ich przyszły znów mrozy i drogi były przetarte, więc mogli pospieszać. Pod wieczór Jurand znów przemówił i począł wypytywać o owych braci zakonnych, którzy byli w leśnym dworcu, a Zbyszko opowiadał mu wszystko — i o ich skargach i o odjeździe i o śmierci pana de Fourcy i o postępku swego giermka, który w tak straszny sposób pokruszył ramię Danvelda, a podczas tego opowia-

dania przypomniała mu się i uderzyła go jedna okoliczność, to jest bytność owej niewiasty w leśnym dworcu, która przywiozła od Danvelda balsamy gojące. Na popasie począł więc wypytywać o nią i Czecha i Sanderusa, ale obaj nie wiedzieli dokładnie, co się z nią stało. Zdawało im się, że odjechała albo razem z tymi ludźmi, którzy przybyli po Danusię, albo wnet po nich. Zbyszkowi przyszło teraz do głowy, że to mógł być ktoś nasłany w tym celu, aby tych ludzi przestrzedz na wypadek, gdyby Jurand znajdował się własną osobą na dworcu. W takim razie nie podawaliby się za ludzi ze Spychowa, mogli zaś mieć przygotowane jakieś inne pismo, któreby byli oddali księżnie zamiast zmyślonego Jurandowego listu. Wszystko to było ułożone z piekielną zręcznością i młody rycerz, który dotychczas znał Krzyżaków tylko z pola, po raz pierwszy pomyślał, że pięści na nich nie dość, ale że trzeba umieć zmódz ich i głową. Myśl ta była mu przykra, albowiem jego ogromny żal i ból zmieniły się w nim przedewszystkiem w żądzę walki i krwi. Nawet ratunek dla Danusi przedstawiał mu się jako szereg bitew kupą lub w pojedynkę; tymczasem teraz poznał, że trzeba może będzie chęć pomsty i łupania łbów wziąć jak niedźwiedzia na łańcuch i szukać całkiem nowych dróg ocalenia i odzyskania Da-

nusi. Myśląc o tem, żałował, że niema przy nim Maćka. Maćko bowiem równie był przebiegły, jak mężny. Postanowił jednak i sam wysłać ze Spychowa Sanderusa do Szczytna, aby ową niewiastę odszukał i starał się od niej wywiedzieć, co się z Danusią stało. Mówił sobie, że choćby Sanderus chciał go zdradzić, to niewiele sprawie zaszkodzi, a w razie przeciwnym może znaczne mu usługi oddać, albowiem rzemiosło jego otwierało mu wszędzie dostęp.

Chciał jednak naradzić się przedtem z Jurandem, odłożył wszelako tę rzecz do Spychowa, tem bardziej, że zapadła noc i zdawało mu się, że Jurand, siedząc na wysokiem siodle rycerskiem, usnął z trudów, zmęczenia i ciężkiej troski. Ale Jurand dlatego tylko jechał z głową spuszczoną, że mu ją pochyliło nieszczęście. I widać, że ciągle o niem rozmyślał, że serce jego pełne było okrutnych obaw, gdyż wreszcie rzekł:

— Wolejbym był zamarzł pod Niedzborzem! Tyś to mnie odgrzebywał?

— Ja z innymi.

— A na onych łowach tyś mi dziecko ratował?

— Jakożem miał czynić?

— I teraz mi pomożesz?

A w Zbyszku wybuchnęła zarazem miłość

do Danuśki i nienawiść do Krzyżaków krzywdzicieli tak wielka, że aż wstał na siodle i jął mówić przez zaciśnięte zęby, jakby z trudem:

— Słuchajcie, co rzekę: choćby mi przyszło zębami pruskie zamki gryźć, to je zgryzę, a ją dostanę.

I nastała chwila milczenia. Mściwa i niepohamowana natura Juranda ozwała się też widocznie z całą siłą pod wpływem Zbyszkowych słów, gdyż począł zgrzytać w ciemności, a po chwili powtarzać znów nazwiska:

— Danveld, Löwe, Rotgier i Godfryd!

I w duszy myślał, że jeśli zechcą, by im Bregowa oddał, to go odda, jeśli każą mu dopłacić, to dopłaci, choćby miał cały Spychów do ceny przyrzucić, ale później biada tym, którzy na to jedyne dziecko jego rękę podnieśli!

Przez całą noc sen nie zamknął im ani na chwilę powiek. Nad ranem ledwie się poznali, tak twarze ich były zmienione przez tę jedną noc. Juranda uderzył wreszcie ten ból i ta zawziętość Zbyszka, więc rzekł:

— Nałęczką cię ona przykryła i śmierci wydarła — wiem. Ale też ją miłujesz?

Zbyszko spojrzał mu prosto w oczy z twarzą niemal zuchwałą i odpowiedział:

— To żona moja.

Na to Jurand powstrzymał konia i patrzał na Zbyszka, mrugając ze zdumienia.

— Jako powiadasz? — zapytał.

— Mówię, że ona niewiasta moja, a ja jej mąż.

Rycerz ze Spychowa przykrył rękawicą oczy, jak gdyby olśnął od nagłego uderzenia piorunu, poczem nie odrzekł nic, po chwili ruszył koniem i wysunąwszy się na czoło orszaku, jechał w milczeniu.

XXIX.

Ale Zbyszko, jadąc za nim, nie mógł długo wytrzymać i rzekł sobie w duszy: «Wolę, żeby gniewem wybuchnął, niż żeby się zaciął». Więc podjechał ku niemu i trąciwszy strzemieniem w jego strzemię, począł mówić:

— Posłuchajcie, jako to było. Co Danuśka dla mnie uczyniła w Krakowie, to wiecie, ale tego nie wiecie, że w Bogdańcu swatali mi Jagienkę, Zychową córkę ze Zgorzelic. Stryj mój, Maćko, chciał; rodzic jej, Zych, chciał; a i krewny opat, bogacz, także... Co wam tam długo prawić? — uczciwa dziewka i jak lania, a wiano też godne. Ale nie mogło to być. Było mi Jagienki żal, ale jeszcze większy żal Danuśki i zabrałem się ku niej na Mazowsze, bo szczerze wam rzekę: nie mogłem dłużej żyć. Wspomnijcie, jakoście sami miłowali, wspomnijcie! — a nie będzie wam dziwota.

Tu przerwał Zbyszko, czekając na jakieś

słowo z ust Juranda, lecz gdy ów milczał, jął mówić dalej:

— W leśnym dworcu Bóg mi dał, żem i Panią i Danuśkę od tura na łowach zratował. I zaraz Pani mówiła: «Teraz już Jurand nie będzie przeciwny, bo jakoże mu się nie wypłacić za taki uczynek?» Ale ja i wtedy bez waszego rodzicielskiego pozwoleństwa nie myślałem jej brać. Ba! i nijak mi było, bo mnie zwierz luty tak starmosił, że ledwie duszy ze mnie nie wyżonął. Ale potem — wiecie — przyszli ci ludzie po Danuśkę, by ją niby do Spychowa powieść, a jam jeszcze z łoża nie wstawał. Myślałem, że już jej nigdy nie ujrzę. Myślałem, że ją do Spychowa weźmiecie i komu innemu oddacie. W Krakowie byliście mi przecie przeciwni... Jużem myślał, że zamrę. Hej, mocny Boże, co to była za noc! Nic, jeno strapienie; nic, jeno żałość! Myślałem, że jak mi ona odjedzie, to już i słońce nie wzejdzie. Wyrozumcie wy ludzkie kochanie i ludzką boleść...

I aż łzy zadrgały na chwilę w głosie Zbyszka, ale że serce miał mężne, więc się opanował i rzekł:

— Ludzie przyjechali po nią w wieczór i chcieli ją zaraz brać, ale księżna kazała im czekać do rana. Aż tu Pan Jezus zesłał mi myśl, aby się księżnie pokłonić i o Danuśkę ją

prosić. Myślałem, że jeśli zamrę, to choć tę jedną będę miał pociechę. Wspomnijcie, że dziewczyna miała jechać, a ja ostawałem chory i śmierci blizki. Nie było też czasu prosić was o pozwoleństwo. Księcia nie było już w leśnym dworcu, więc wagowała się Pani na obie strony, bo nie miała się kogo poradzić. Ale zlitowali się wreszcie oboje z księdzem Wyszońkiem nade mną i ksiądz Wyszoniek dał nam ślub... Moc Boska, prawo Boskie...

A Jurand przerwał głucho:

— I kara Boska.

— Czem zaś ma być kara? — zapytał Zbyszko. — Pomiarkujcie jeno, że przysłali po nią przed ślubem i czyby był, czyby go nie było, tak samoby ją powieźli.

Lecz Jurand znów nie odrzekł nic i jechał zamknięty w sobie, mroczny i z twarzą tak skamieniałą, że Zbyszko, lubo zrazu uczuł ulgę, jaką sprawia zawsze wyznanie rzeczy długo tajonej, zląkł się wreszcie i począł mówić sobie w duszy z coraz większym niepokojem, że stary rycerz zaciął się w gniewie i że odtąd będą dla siebie jak obcy i nieprzyjaźni ludzie.

I przyszła nań chwila wielkiego pognębienia. Nigdy od czasu, jak wyjechał z Bogdańca, nie było mu tak źle. Zdawało mu się teraz, że niema żadnej nadziei ni przejednania Juranda, ni, co

gorsza, uratowania Danusi, że wszystko na nic i że w przyszłości spadną na niego tylko coraz większe nieszczęścia i coraz większa niedola. Ale pognębienie to trwało krótko, a raczej zgodnie z jego naturą wnet zmieniło się w gniew, w chęć sporu i walki. «Nie chce zgody — mówił sobie, myśląc o Jurandzie — niech będzie niezgoda, niech będzie, co chce!» I gotów był skoczyć do oczu samemu Jurandowi. Chwyciła go też żądza bitki z kimkolwiek o cokolwiek, byle coś zrobić, byle dać ujście żalom, goryczy i gniewowi, byle znaleźć jakowąś ulgę.

A tymczasem zajechali do karczmy na rozdrożu, zwanej Świetlik, gdzie Jurand w czasie powrotu z dworu książęcego do Spychowa dawał zwykle wypoczynek ludziom i koniom. Mimowoli uczynił to i teraz. Po chwili obaj ze Zbyszkiem znaleźli się w osobnej izbie. Nagle Jurand zatrzymał się przed młodym rycerzem i utkwiwszy w nim wzrok, zapytał:

— Toś ty dla niej tu przywędrował?

Ów zaś odpowiedział prawie szorstko:

— Myślicie, że się zaprę?

I począł patrzeć wprost w oczy Juranda, gotów na gniew gniewem wybuchnąć. Lecz w twarzy starego wojownika nie było zawziętości, był tylko smutek prawie bez granic.

— I dzieckoś mi ratował? — spytał po chwili — i mnieś odgrzebł?...

A Zbyszko spojrzał na niego ze zdziwieniem i obawą, czy mu się w głowie nie miesza, gdyż Jurand powtarzał zupełnie te same pytania, które już poprzednio był zadał.

— Siądźcie sobie — rzekł — bo widzi mi się, żeście jeszcze słabi.

Lecz Jurand podniósł ręce, położył je na ramionach Zbyszka i nagle przygarnął go z całą siłą do piersi; ów zaś, ochłonąwszy z chwilowego zdumienia, chwycił go wpół i trzymali się tak długo, gdyż przykuwały ich do siebie wspólne strapienia i wspólna niedola.

Gdy zaś się puścili, Zbyszko ścisnął jeszcze za kolana starszego rycerza, a następnie począł całować go ze łzami w oczach po ręku.

— Nie będziecie mi przeciwni? — pytał.

A na to Jurand odrzekł:

— Byłem ci przeciwny, bom ją w duszy Bogu ofiarował.

— Wyście ofiarowali ją Bogu, a Bóg mnie. Wolą Jego!

— Wola Jego! — powtórzył Jurand — jeno trzeba nam teraz i miłosierdzia.

— Komuż Bóg pomoże, jeśli nie ojcu, który szuka dziecka, jeśli nie mężowi, który szuka żony? Zbójom nie będzie ci pomagał.

— A przecie ją porwali — odpowiedział Jurand.

— To im de Bregowa oddacie.

— Oddam wszystko, co chcą.

Lecz na myśl o Krzyżakach zbudziła się w nim wnet stara nienawiść i objęła go, jak płomień, gdyż po chwili dodał przez zaciśnięte zęby:

— I dołożę, czego nie chcą.

— Jam im też poprzysiągł — odpowiedział Zbyszko — ale teraz trzeba nam do Spychowa.

I począł pilić, by siodłano konie. Jakoż, gdy zjadły obroki, a ludzie rozgrzali się trochę w izbach, ruszono dalej, chociaż na dworze czynił się już mrok. Ponieważ droga była jeszcze daleka, a na noc brał mróz okrutny, przeto Jurand i Zbyszko, którzy nie odzyskali jeszcze wszystkich sił, jechali w saniach. Zbyszko opowiadał o stryjcu Maćku, do którego w duszy tęsknił i żałował, że go niema, gdyż zarówno mogło się przydać jego męstwo, jak chytrość, która przeciw takim nieprzyjaciołom więcej jeszcze od męstwa jest potrzebna. W końcu zwrócił się do Juranda i zapytał:

— A wyście chytrzy?... Bo ja, to nijak nie potrafię.

— I ja nie — odpowiedział Jurand. — Nie

chytrością ja z nimi wojował, jeno tą ręką i tą boleścią, która we mnie ostała.

— Jużci ja to rozumiem — rzekł młody rycerz. — Przez to rozumiem, że Danuśkę miłuję i że ją porwali. Gdyby, uchowaj Bóg...

I nie dokończył, bo na samą myśl o tem poczuł w sercu nie ludzkie, ale wilcze serce. Przez czas jakiś jechali w milczeniu białą, zalaną światłem miesięcznem drogą, poczem Jurand począł mówić, jakby sam do siebie:

— Bo gdyby mieli przyczynę do pomsty nade mną, nie mówię! Ale na miły Bóg! nie mieli... Wojowałem z nimi w polu, gdym w poselstwie od naszego księcia do Witolda chadzał, ale tu byłem, jako sąsiad sąsiadom... Bartosz Nałęcz czterdziestu rycerzy, którzy ku nim szli, chwycił, skował i w podziemiach w Koźminie zamknął. Musieli mu Krzyżacy pół woza pieniędzy za nich nasypać. A ja, trafił się li gość Niemiec, który do Krzyżaków ciągnął, tom go jeszcze jako rycerz rycerza podejmował i obdarzał. Nieraz też i Krzyżacy do mnie przez bagna przyjeżdżali. Nie byłem im wtedy ciężki, a oni mi to uczynili, czegobym ja i dziś jeszcze największemu nieprzyjacielowi nie uczynił...

I straszne wspomnienia poczęły go targać z coraz większą siłą, głos zamarł mu na chwilę w piersi, poczem mówił nawpół z jękiem:

— Jedną ci miałem, jako owieczkę, jako jedno serce w piersiach, a oni ją na powróz, jak psa, chwycili i zbielała im na powrozie... Teraz znów dziecko... Jezu, Jezu!

I znów zapadło milczenie. Zbyszko podniósł ku księżycowi swą młodą twarz, w której malowało się zdziwienie, następnie spojrzał na Juranda i zapytał:

— Ojcze!... Toćby im lepiej było na miłość ludzką, niż na pomstę zarabiać. Po co oni tyle krzywd wszystkim narodom i wszystkim ludziom czynią?

A Jurand rozłożył jakby z rozpaczą ręce i odrzekł głuchym głosem:

— Nie wiem...

Zbyszko rozmyślał czas jakiś nad własnem pytaniem, po chwili jednak myśl jego wróciła do Juranda.

— Ludzie mówią, żeście godną pomstę wywarli — rzekł.

Jurand tymczasem zdusił w sobie ból, opamiętał się i począł mówić:

— Bom im poprzysiągł... I Bogum poprzysiągł, że jeśli mi pomstę da spełnić, to mu to dziecko, które mi ostało, oddam... Dlategom ci był przeciwny. A teraz nie wiem: wola to Jego była, czyli też gniew Jego rozbudziliście waszym uczynkiem.

— Nie — rzekł Zbyszko. — Toć-żem wam już mówił, że choćby ślubu nie było, i tak byłyby ją psubraty chwyciły. Bóg przyjął waszą chęć, a Danuśkę mnie podarował, bo bez takowej jego woli nicbyśmy nie wskórali.

— Każdy grzech jest przeciw woli Bożej.

— Grzech jest, ale nie sakrament. Sakrament przecie Boska rzecz.

— To i dlatego niema rady.

— A chwała Bogu, niema! Nie narzekajcie też na to, bo niktby wam tak nie pomógł przeciw tym zbójom, jako ja pomogę. Obaczycie! Za Danuśkę swoją drogą im zapłacim, ale jeśli żywie jeszcze choć jeden z tych, którzy waszą nieboszczkę porywali, zdajcie go mnie, a obaczycie!

Lecz Jurand począł trząść głową.

— Nie — odpowiedział posępnie — z tych żaden nie żywie...

Przez czas jakiś słychać było tylko parskanie koni i przytłumiony odgłos kopyt, uderzających o wyjeżdżoną drogę.

— Raz w nocy — mówił dalej Jurand — usłyszałem jakiś głos, jakoby ze ściany wychodzący, który mi rzekł: «Dość pomsty!» — ale ja nie usłuchałem, bo to nie był głos nieboszczki.

— A co to mógł być za głos? — zapytał z niepokojem Zbyszko.

— Nie wiem. Często w Spychowie coś w ścianach gada, a czasem jęczy, bo dużo ich na łańcuchach w podziemiu pomarło.

— A wam ksiądz co mówi?

— Ksiądz święcił gródek i mówił też, żeby zemsty poniechać, ale nie mogło to być. Stałem się im zbyt ciężki i później sami chcieli się mścić. Czynili zasadzki i pozywali w pole... Tak było i teraz. Majneger i de Bregow pierwsi mnie pozwali.

— Braliście kiedy wykup?

— Nigdy. Z tych, których chwyciłem, pierwszy de Bregow żyw wyjdzie.

Rozmowa ustała, gdyż skręcili z szerszego gościńca na węższą drogę, którą jechali długo, gdyż szła kręto, a miejscami zmieniała się jakby we wpadlinę leśną, pełną zasp śnieżnych, trudnych do przebycia. Wiosną, albo latem podczas dżdżów droga ta musiała być prawie nieprzystępna.

— Czy to już ku Spychowowi jedziem? — zapytał Zbyszko.

— Tak — odrzekł Jurand. — Boru jeszcze szmat znaczny, a potem zaczną się oparzeliska, wśród których gródek... Za oparzeliskami są łęgi i suche pola, zaś do gródka można dojechać tylko groblą. Nieraz chcieli mnie Niemcy dostać,

ale nie mogli i siła ich kości próchnieje po leśnych brzeżkach.

— I trafić nie łatwo — rzekł Zbyszko. — Jeśli Krzyżaki ludzi z listami wyszlą, jakoże trafią?

— Nieraz już wysyłali i mają takich, którzy drogę wiedzą.

— Bogdajeśmy ich zastali w Spychowie! — rzekł Zbyszko.

Tymczasem życzenie to miało się urzeczywistnić wcześniej, niż młody rycerz myślał, albowiem wyjechawszy z boru na odkrytą płaszczyznę, na której leżał wśród bagien Spychów, ujrzeli przed sobą dwóch konnych i nizkie sanie, w których siedziały trzy ciemne postacie.

Noc była bardzo jasna, więc na białem podścielisku śniegów widać było całą gromadę doskonale. Jurandowi i Zbyszkowi uderzyły żywiej serca na ten widok, kto bowiem mógł jechać do Spychowa wśród nocy, jeśli nie wysłańcy krzyżaccy?

Zbyszko kazał woźnicy jechać żywiej, więc wkrótce zbliżyli się tak znacznie, że usłyszano ich i dwaj konni, którzy czuwali widocznie nad bezpieczeństwem sani, zwrócili się ku nim i pozdejmowawszy kusze z ramion, poczęli wołać:

— *Wer da?*

— Niemcy! — szepnął Zbyszkowi Jurand.

Poczem podniósł głos i rzekł:

— Moje prawo pytać, twoje odpowiadać! Kto wy?

— Podróżni.

— Jacy podróżni?

— Pielgrzymi.

— Skąd?

— Ze Szczytna.

— Oni! — szepnął znów Jurand.

Tymczasem sanki porównały się z sobą, a jednocześnie na przodzie przed nimi ukazało się sześciu konnych. Była to spychowska straż, która dniem i nocą czuwała nad groblą, wiodącą do gródka. Przy koniach biegły psy straszne i ogromne, całkiem do wilków podobne.

Strażnicy, poznawszy Juranda, poczęli wykrzykiwać na jego cześć, lecz w okrzykach tych brzmiało i zdziwienie, że dziedzic wraca tak wcześnie i niespodzianie, lecz on całkiem zajęty był wysłańcami, więc znów zwrócił się ku nim:

— Dokąd jedziecie? — zapytał.

— Do Spychowa?

— Czego tam chcecie?

— To możemy jeno samemu panu powiedzieć.

Jurand miał już na ustach: «Jam jest pan ze Spychowa» — ale się powstrzymał, rozumie-

jąc, że rozmowa nie może się odbywać przy ludziach. Natomiast spytawszy jeszcze, czy mają jakowe listy i otrzymawszy odpowiedź, że polecono im ustnie się rozmówić, kazał jechać nieledwie co koń wyskoczy. Zbyszkowi było również tak pilno do wiadomości o Danusi, że nie umiał na nic innego zwrócić uwagi. Niecierpliwił się tylko, gdy jeszcze dwukrotnie straże zastępowały im drogę na grobli; niecierpliwił się, gdy spuszczano most na fosie, za którą sterczał na wałach olbrzymi ostrokół, a chociaż poprzednio nieraz brała go ciekawość obaczyć, jak wygląda ten złowrogiej sławy gródek, na którego wspomnienie Niemcy żegnali się znakiem krzyża, teraz nie widział nic, prócz krzyżackich wysłańców, od których mógł usłyszeć, gdzie jest Danusia i kiedy będzie wrócona jej wolność. Nie przewidział zaś, że za chwilę czeka go ciężki zawód.

Prócz konnych, dodanych dla obrony i woźnicy, poselstwo ze Szczytna składało się z dwóch osób: jedną z nich była ta sama niewiasta, która swego czasu przywoziła balsam gojący do leśnego dworca, drugą młody pątnik. Niewiasty Zbyszko nie poznał, albowiem jej w leśnym dworcu nie widział; pątnik zaś od razu wydał mu się jakimś przebranym giermkiem. Jurand wnet wprowadził oboje do narożnej izby i sta-

nął przed nimi ogromny i prawie straszny w blasku płomienia, który padał na niego od płonącego w kominie ognia.

— Gdzie dziecko? — zapytał.

Oni jednakże zlękli się, stanąwszy oko w oko z groźnym mężem. Pątnik, choć twarz miał zuchwałą, trząsł się po prostu jak liść, a i pod niewiastą drżały nogi. Wzrok jej przeszedł z oblicza Juranda na Zbyszka, następnie na błyszczącą, łysą głowę księdza Kaleba i znów wrócił do Juranda, jakby z zapytaniem, co tamci dwaj tu robią.

— Panie — odrzekła wreszcie — nie wiemy, o co pytacie, ale przysłano nas ku wam w sprawach ważnych. Wszelako ten, który nas wysłał, rozkazał nam wyraźnie, aby rozmowa z wami odbyła się bez świadków.

— Nie mam dla nich tajemnic — rzekł Jurand.

— Ale my je mamy, szlachetny panie — odrzekła niewiasta — i jeśli każecie im zostać, to o nic innego prosić was nie będziemy, tylko abyście nam pozwolili jutro odjechać.

Na twarzy nieprzywykłego do oporu Juranda odbił się gniew. Przez chwilę płowe jego wąsy poczęły się poruszać złowrogo, lecz pomyślał, że idzie o Danusię i pohamował się. Zbyszko zresztą, któremu chodziło przedewszyst-

kiem o to, by rozmowa odbyła się jak najprędzej i który był pewien, że Jurand mu ją powtórzy, rzekł:

— Skoro tak ma być, ostańcie sami.

I wyszedł wraz z księdzem Kalebem, zaledwie jednak znalazł się w głównej izbie, obwieszonej tarczami i bronią, zdobytą przez Juranda, gdy Głowacz zbliżył się ku niemu.

— Panie — rzekł — to ta sama niewiasta.

— Jaka niewiasta?

— Od Krzyżaków, która przywoziła balsam hercyński. Poznałem ją od razu i Sanderus poznał ją także. Przyjeżdżała widać na przeszpiegi, a teraz wie ona pewnie, gdzie jest panienka.

— I my będziem wiedzieć — rzekł Zbyszko.— Zali znacie także i tego pątnika?

— Nie — odpowiedział Sanderus. — Ale nie kupujcie, panie, od niego odpustów, bo to fałszywy pątnik. Gdyby go na męki położyć, siła możnaby się od niego dowiedzieć.

— Czekać! — rzekł Zbyszko.

Tymczasem w izbie narożnej, zaledwie drzwi się zamknęły za Zbyszkiem i księdzem Kalebem, siostra zakonna przysunęła się szybko do Juranda i poczęła szeptać:

— Waszą córkę zbóje porwali.

— Z krzyżami na płaszczach?

— Nie. Ale Bóg pobłogosławił pobożnym braciom, że ją odbili i teraz ona jest u nich.

— Gdzie jest? pytam.

— Pod opieką pobożnego brata Szomberga — odrzekła, krzyżując ręce na piersiach i schylając się pokornie.

A Jurand, usłyszawszy straszne nazwisko kata Witoldowych dzieci, zbladł jak płótno; po chwili siadł na ławie, przymknął oczy i począł dłonią rozcierać zimny pot, który uperlił mu czoło.

Co widząc pątnik, jakkolwiek nie umiał przedtem pohamować strachu, wsparł się teraz w boki, rozwalił się na ławie, wyciągnął nogi i spojrzał na Juranda oczyma pełnemi pychy i pogardy.

Nastało długie milczenie.

— I brat Markwart pomaga bratu Szombergowi w czuwaniu nad nią — rzekła znów niewiasta. — Pilna ta opieka i nie stanie się panience krzywda.

— Co mam czynić, by mi ją oddali? — zapytał Jurand.

— Upokorzyć się przed Zakonem! — rzekł z dumą pątnik.

Usłyszawszy to, Jurand wstał, podszedł ku niemu i pochyliwszy się nad nim, rzekł stłumionym, strasznym głosem:

— Milczeć!...

A pątnik przeraził się znowu. Wiedział, że może grozić i może rzec coś takiego, co powstrzyma i złamie Juranda, ale zląkł się, że wpierw, nim słowo przemówi, stanie się z nim coś okropnego; więc zamilkł, oczy okrągłe, jakby skamieniałe ze strachu, utkwił w groźnej twarzy Spychowskiego pana i siedział bez ruchu, tylko broda poczęła mu się trząść silnie.

Jurand zaś zwrócił się do siostry zakonnej:

— List macie?

— Nie, panie. Nie mamy listu. Co mamy do powiedzenia, kazano nam ustnie powiedzieć.

— Zaczem mówcie!

A ona powtórzyła jeszcze raz, jakby pragnąc, by Jurand wbił sobie to dobrze w pamięć:

— Brat Szomberg i brat Markwart czuwają nad panienką, przeto wy, panie, hamujcie swój gniew... Ale nie stanie się jej nic złego, bo choć przez wiele lat krzywdziliście ciężko Zakon, jednakże bracia chcą wam dobrem za złe wypłacić, jeśli uczynicie zadość sprawiedliwym ich żądaniom.

— Czego chcą?

— Chcą, abyście uwolnili pana de Bregowa.

Jurand odetchnął głęboko.

— Oddam im de Bregowa — rzekł.

— Innych brańców, których w Spychowie macie.

— Jest dwóch giermków Majnegera i de Bregowa, prócz ich pachołków.

— Macie ich uwolnić, panie, i wynagrodzić za uwięzienie.

— Nie daj Bóg, abym się o dziecko miał targować.

— Tego też po was spodziewali się pobożni zakonnicy — rzekła niewiasta — ale to jeszcze nie wszystko, co mi kazano powiedzieć. Waszą córkę, panie, porwali jacyś ludzie, zapewne zbóje i zapewne dlatego, aby wziąć od was okup bogaty... Bóg pozwolił braciom, że ją odbili — i teraz więcej nie żądają, tylko abyście im towarzysza i gościa oddali. Ale bracia wiedzą i wy wiecie, panie, jaka w tym kraju jest ku nim nienawiść i jak niesprawiedliwie sądzą wszystkie ich, choćby najpobożniejsze uczynki. Z tego powodu bracia są pewni, iż gdyby tu ludzie dowiedzieli się, że córka wasza jest u nich, zarazby poczęli ich posądzać, że to oni ją porwali i w ten sposób za swą cnotę zebraliby jeno oszczerstwa i skargi... O tak! źli i złośliwi ludzie tutejsi nieraz im się już tak wypłacali, na czem sława pobożnego Zakonu cierpiała bardzo, o którą bracia dbać muszą i przeto kładą ten jeszcze tylko warunek, abyście sami

i księciu tej krainy i wszystkiemu srogiemu rycerstwu oświadczyli — jako i jest prawda — że nie bracia krzyżowi, jeno zbóje waszą córkę porwali i że od zbójów musieliście ją wykupować.

— Prawda jest — rzekł Jurand — że zbóje mi dziecko porwali i że od zbójów muszę je wykupować...

— Nikomu też nie macie inaczej mówić, bo gdyby choć jeden człowiek dowiedział się, żeście układali się z braćmi, gdyby choć jedna żywa dusza, albo gdyby choć jedna skarga poszła czy to do mistrza, czy do kapituły — tedyby ciężkie zrodziły się trudności...

Na twarzy Juranda odbił się niepokój. W pierwszej chwili wydało mu się dość naturalnem, że komturowie żądają tajemnicy z obawy przed odpowiedzialnością i niesławą, ale teraz zrodziło się w nim podejrzenie, że może być i jakaś inna przyczyna, że zaś nie umiał sobie zdać z niej sprawy, więc chwycił go lęk taki, jaki chwyta najodważniejszych ludzi, gdy niebezpieczeństwo zagraża nie im samym, lecz ich bliskim i kochanym.

Postanowił jednakże dowiedzieć się czegoś więcej od zakonnej służki.

— Komturowie chcą tajemnicy — rzekł — ale jakoż tajemnica ma się zachować, gdy de

Bregowa i tamtych innych za dziecko wypuszczę?

— Powiecie, żeście wzięli okup za pana de Bregowa, aby mieć czem zbójom zapłacić.

— Ludzie nie uwierzą, bom nigdy okupu nie brał — odrzekł posępnie Jurand.

— Bo nigdy nie chodziło o wasze dziecko — odrzekła syczącym głosem służka.

I znów nastało milczenie, poczem pątnik, który przez ten czas nabrał ducha i osądził, że Jurand musi się już teraz więcej hamować, rzekł:

— Taka jest wola braci Szomberga i Markwarta.

Służka zaś mówiła dalej:

— Oto powiecie, że ten pątnik, który przyjechał ze mną, przywiózł wam okup, my zaś odjedziem stąd ze szlachetnym panem de Bregow i z jeńcami.

— Jakto? — rzekł Jurand, marszcząc brwi — zali myślicie, że wam oddam jeńców, nim mi dziecko wrócicie?

— Uczyńcie, panie, jeszcze inaczej. Możecie sami jechać po córkę do Szczytna, dokąd wam ją bracia przywiozą.

— Ja? do Szczytna?

— Bo gdyby ją znów zbójcy w drodze porwali, znów posąd wasz i tutejszych ludzi padłby

na pobożnych rycerzy i dlatego ci wolą ją wam do rąk własnych oddać.

— A kto zaś zaręczy mi, że wrócę, gdy sam wlazę wilkowi w gardziel?

— Cnota braci, sprawiedliwość ich i pobożność.

Jurand począł chodzić po izbie. Począł już przewidywać zdradę i obawiał się jej, ale czuł jednocześnie, że Krzyżacy mogą mu nałożyć warunki, jakie im się podoba — i że jest wobec nich bezsilny.

Jednakże przyszedł mu widocznie do głowy jakiś sposób, gdyż zatrzymawszy się nagle przed pątnikiem, począł mu się bystro przypatrywać, poczem zwrócił się do służki i rzekł:

— Dobrze. Pojadę do Szczytna. Wy i ten człowiek, który ma na sobie szaty pątnicze, ostaniecie tu do mego powrotu, po którym odjedziecie z de Bregowem i z jeńcami.

— Nie chcecie, panie, zawierzyć zakonnikom — rzekł pątnik — jakże więc oni mają wam zawierzyć, że wróciwszy, wypuścicie nas i de Bregowa?

Twarz Juranda pobladła ze wzburzenia i nastała groźna chwila, w której już już zdawało się, że chwyci pątnika za pierś i weźmie go pod kolano — lecz zdusił w sobie gniew,

odetchnął głęboko i począł mówić zwolna i dobitnie:

— Ktoskolwiek jest, nie naginaj zbyt mojej cierpliwości, aby zaś nie pękła.

A pątnik zwrócił się do siostry:

— Mówcie, co wam kazano.

— Panie — rzekła — waszej przysiędze na miecz i na rycerską cześć nie ośmielilibyśmy się nie wierzyć, ale i wam nie przystoi składać przed ludźmi prostego stanu przysięgi i nas nie po waszą przysięgę przysłano.

— Po cóż was przysłano?

— Powiedzieli nam bracia, iż macie, nie mówiąc nic nikomu, stawić się w Szczytnie z panem de Bregow i z jeńcami.

Na to ramiona Juranda poczęły się cofać w tył, a palce rozszerzać się nakształt szponów drapieżnego ptaka; nakoniec, stanąwszy przed niewiastą, pochylił się tak, jakby chciał jej mówić do ucha i rzekł:

— Azali nie powiedziano wam, że każę was i Bregowa kołem połamać w Spychowie?

— Wasza córka jest w mocy braci, a pod opieką Szomberga i Markwarta — odrzekła z naciskiem siostra.

— Zbójców, trucicieli, katów! — wybuchnął Jurand.

— Którzy potrafią nas pomścić, a którzy

rzekli nam na odjezdnem tak: «Jeśliby nie miał spełnić wszystkich naszych rozkazów, lepiejby było, by ta dziewka umarła, jako i Witoldowe dzieci pomarły». Wybierajcie!

— I zrozumiejcie, żeście w mocy komturów — ozwał się pątnik. — Nie chcą oni uczynić wam krzywdy i starosta ze Szczytna przysyła wam przez nas słowo, że wolni wyjedziecie z jego zamku, ale chcą, byście za te, któreście im wyrządzili, przyszli pokłonić się przed krzyżackim płaszczem i błagać o łaskę zwycięzców. Chcą wam przebaczyć, ale wpierw chcą zgiąć wasz hardy kark. Głosiliście ich za zdrajców i krzywoprzysięzców, więc chcą, byście się zdali na ich wiarę. Wrócą wolność i wam i córce, ale musicie o nią błagać. Deptaliście ich — musicie przysiądz, iż ręka wasza nigdy się na biały płaszcz nie wzniesie.

— Tak chcą komturowie — dodała niewiasta — a z nimi Markwart i Szomberg.

Nastała chwila śmiertelnej ciszy. Zdawało się tylko, że gdzieś między belkami pułapu jakieś przytłumione echo powtarza, jakby z przerażeniem: «Markwart... Szomberg». Z za okien dochodziły też nawoływania Jurandowych łuczników, czuwających na wałach przy ostrokole gródka.

Pątnik i służka zakonna przez długi czas

spoglądali to na siebie, to na Juranda, który siedział oparty o ścianę, nieruchomy i z twarzą pogrążoną w cieniu, padającym na nią od pęku skór, zawieszonego przy oknie. W głowie pozostała mu jedna tylko myśl, że jeśli nie uczyni tego, czego Krzyżacy chcą — uduszą mu dziecko; jeśli zaś uczyni, to i tak może nie uratować ani Danusi, ani siebie. I nie widział rady, żadnego wyjścia. Czuł nad sobą niemiłosierną przemoc, która go zgniotła. W duszy widział już żelazne ręce Krzyżaka na szyi Danusi, znając ich bowiem, nie wątpił ani chwili, że ją zamordują, zakopią w wale zamkowym, a potem się wyprą, wyprzysięgną — i wówczas któż zdoła im dowieść, że to oni ją porwali? Miał wprawdzie Jurand w ręku wysłańców, mógł ich zawieźć księciu, mękami wydobyć z nich zeznania, ale Krzyżacy mieli Danusię i mogli także nie pożałować dla niej mąk. I przez chwilę zdawało mu się, że dziecko wyciąga do niego ręce z dalekości, prosząc o ratunek... Gdyby choć wiedział napewno, że ona jest w Szczytnie, mógłby ruszyć tej samej nocy ku granicy, napaść na niespodziewających się napadu Niemców, wziąć zamek, wyciąć załogę i uwolnić dziecko, ale jej mogło nie być i pewnie nie było w Szczytnie. Jeszcze mignęło mu błyskawicą przez głowę, że gdyby chwycił niewiastę

i pątnika, a zawiózł ich wprost do wielkiego mistrza, może mistrz wydobyłby z nich zeznania i kazał mu oddać córkę, ale błyskawica ta jak zapaliła się, tak i wnet zgasła... Przecie ci ludzie mogli powiedzieć mistrzowi, że przyjechali wykupić Bregowa i że nic o żadnej dziewczynie nie wiedzą. Nie! ta droga nie wiodła do niczego, ale któraż wiodła? Pomyślał bowiem, że jeśli pojedzie do Szczytna, to go skują i wtrącą do podziemia, a Danusi i tak nie puszczą, choćby dlatego, by się nie wydało, że ją porwali. A tymczasem śmierć jest nad jedynem dzieckiem, śmierć nad ostatnią drogą głową!... I wreszcie myśli poczęły mu się plątać, a boleść stała się tak wielka, że przesiliła się i przeszła w odrętwienie. Siedział nieruchomie dlatego, że ciało jego stało się martwe, jakby wykute z kamienia. Gdyby chciał podnieść się w tej chwili, nie byłby zdołał tego dokazać.

Tymczasem tamtym sprzykrzyło się długie czekanie, więc służka zakonna podniosła się i rzekła:

— Już i świt niezadługo, więc pozwólcie nam odejść, panie, albowiem potrzebujemy spoczynku.

— I posiłku po długiej drodze — dodał pątnik.

Poczem oboje skłonili się Jurandowi i wyszli.

On zaś siedział dalej bez ruchu, jakby ujęty snem lub martwy.

Ale po chwili drzwi uchyliły się i ukazał się w nich Zbyszko, a za nim ksiądz Kaleb.

— Cóż wysłańcy? czego chcą? — zapytał młody rycerz, zbliżając się do Juranda.

Jurand drgnął, ale zrazu nie odrzekł nic, począł tylko mrugać mocno, jak człowiek zbudzony z twardego snu.

— Panie, czyście nie chorzy? — ozwał się ksiądz Kaleb, który, znając lepiej Juranda, spostrzegł, iż dzieje się z nim coś dziwnego.

— Nie — odrzekł Jurand.

— A Danuśka? — dopytywał dalej Zbyszko — gdzie jest i co wam rzekli? Z czem przyjechali?

— Z wy-ku-pem — odpowiedział zwolna Jurand.

— Z wykupem za Bregowa?

— Za Bregowa...

— Jakto za Bregowa? co wam jest?

— Nic...

Lecz w głosie jego było coś tak niezwykłego i jakby zniedołężniałego, że tamtych obu chwyciła nagła trwoga, zwłaszcza, że przytem Jurand mówił o wykupie, nie o zamianie Bregowa **na Danusię.**

— Na miły Bóg! — zawołał Zbyszko — gdzie Danuśka?

— Nie-masz jej u Krzy-ża-ków, nie! — odpowiedział sennym głosem Jurand.

I nagle zwalił się jak martwy z ławy na podłogę.

XXX.

Nazajutrz o południu wysłańcy widzieli się z Jurandem, a w jakiś czas później wyjechali, zabrawszy z sobą de Bregowa, dwóch giermków i kilkunastu innych jeńców. Jurand wezwał następnie ojca Kaleba, któremu podyktował list do księcia z oznajmieniem, że Danusi nie porwali rycerze zakonni, ale że zdołał odkryć jej schronienie i ma nadzieję, iż w ciągu kilku dni ją odzyszcze. To samo powtórzył i Zbyszkowi, który od wczorajszej nocy szalał ze zdumienia i trwogi. Stary rycerz nie chciał jednak odpowiadać na żadne jego pytania, oświadczył mu natomiast, by czekał cierpliwie i tymczasem nic nie przedsiębrał dla uwolnienia Danusi, gdyż to jest rzecz zbyteczna. Pod wieczór zamknął się znów z księdzem Kalebem, któremu naprzód rozkazał spisać swą ostatnią wolę, potem zaś spowiadał się, a po przyjęciu komunii wezwał przed siebie Zbyszka i starego, wiecznie milczącego Tolimę, który bywał mu towarzyszem we

wszystkich wyprawach i walkach, a w czasie spokoju gospodarzył w Spychowie.

— Oto jest — rzekł, zwracając się do starego wojownika i podnosząc głos, jakby mówił do człowieka, który niedosłyszy — mąż mojej córki, którą na książęcym dworze zaślubił, na co i moją zgodę uzyskał. Ten ci ma tu przeto być po mojej śmierci panem i zaś dziedzicem gródka, ziem, borów, ługów, ludzi i wszelakiego statku, który się w Spychowie znajduje...

Usłyszawszy to, Tolima zdumiał się bardzo i począł zwracać swą kwadratową głowę to w stronę Zbyszka, to w stronę Juranda; nie rzekł jednak nic, gdyż prawie nigdy nic nie mówił, tylko pochylił się przed Zbyszkiem i objął z lekka dłońmi jego kolana.

A Jurand mówił dalej:

— Którą to wolę moją spisał ksiądz Kaleb, a pod pismem pieczęć się moja na wosku znajduje; ty zaś masz świadczyć, żeś to ode mnie słyszał i żem rozkazał, aby tu dla tego młodego rycerza taki sam posłuch był, jako i dla mnie. Zaś co jest w skarbcu łupów i pieniędzy, to mu pokażesz, i będziesz mu wiernie w pokoju i na wojnie do śmierci służył. Słyszałeś?

Tolima podniósł ręce do uszu i skinął głową, poczem na dany znak przez Juranda skłonił się

i odszedł, rycerz zaś zwrócił się do Zbyszka i rzekł z naciskiem:

— Tem, co jest w skarbcu, można choćby największą chciwość pokusić i nie jednego, ale stu brańców wykupić. Pamiętaj.

Lecz Zbyszko spytał:

— A czemu to już zdajecie mi Spychów?

— Więcej ci ja niż Spychów zdaję, bo dziecko.

— I śmierci godzina niewiadoma — rzekł ksiądz Kaleb.

— Jużci niewiadoma — powtórzył jakby ze smutkiem Jurand. — Toć-że niedawno śniegi mnie przysypały, a chociaż Bóg mnie zratował, niema już we mnie dawnej siły...

— Na miły Bóg! — zawołał Zbyszko — coś się w was odmieniło od wczoraj i o śmierci niż o Danusi radziej mówicie. Na miły Bóg!

— Wróci Danuśka, wróci — odpowiedział Jurand — nad nią jest opieka Boska. Ale jak wróci... słuchaj... Bierz ty ją do Bogdańca, a Spychów na Tolimę zdaj... To człek wierny, a tu ciężkie sąsiedztwo... Tam ci jej na powróz nie wezmą... tam przezpieczniej...

— Hej! — zakrzyknął Zbyszko — a wy już jakby z tamtego świata gadacie. Cóż to jest?

— Bom już przez pół był na tamtym świecie, a teraz tak mi się widzi, że jakowaś cho-

rość mnie ima. I chodzi mi o dziecko... boć ja ją jedną mam. A i ty, choć wiem, że ją miłujesz...

Tu przerwał i wydobywszy z pochwy krótki mieczyk, zwany mizerykordyą, zwrócił go rękojeścią ku Zbyszkowi:

— Przysięgnijże mi jeszcze na ten krzyżyk, jako jej nigdy nie pokrzywdzisz i będziesz statecznie miłował...

A Zbyszkowi aż łzy stanęły nagle w oczach; w jednej chwili rzucił się na kolana i położywszy palec na rękojeści, zawołał:

— Na świętą Mękę, tak jej nie pokrzywdzę i będę statecznie miłował!

— Amen — rzekł ksiądz Kaleb.

Jurand zaś pochował w pochwę mizerykordyę i otworzył mu ramiona:

— Toś mi i ty dziecko!...

Poczem rozeszli się, bo noc już zapadła głęboka, a od kilku już dni nie zaznali dobrego wywczasu. Zbyszko jednakże wstał nazajutrz świtaniem, albowiem wczoraj zląkł się istotnie, czy nie idzie na Juranda jakowaś choroba i chciał teraz dowiedzieć się, jak starszy rycerz spędził noc.

Przed drzwiami Jurandowej izby natknął się na Tolimę, który z niej właśnie wychodził:

— A jakoże pan? zdrowi? — zapytał.

Ów zaś skłonił się, a następnie otoczył ucho dłonią i rzekł:

— Wasza Miłość co każą?

— Pytam: jak się ma pan? — powtórzył głośniej Zbyszko.

— Pan pojechał.

— Dokąd?

— Nie wiem. We zbroi...

XXXI.

Świt począł właśnie bielić drzewa, krze i bryły wapienne, rozrzucone tu i ówdzie po polach, gdy najęty przewodnik, idący przy koniu Juranda, zatrzymał się i rzekł:

— Pozwólcie mi odetchnąć, panie rycerzu, bom się zasapał. Odwilż jest i mgła, ale to już niedaleko...

— Doprowadzisz mnie do gościńca, a potem wrócisz — odrzekł Jurand.

— Gościniec będzie w prawo za borkiem, a z pagórka zaraz zamek ujrzycie.

To rzekłszy, chłop począł «zabijać» ręce, to jest uderzać dłońmi pod pachy, gdyż był zziąbł od rannej wilgoci, poczem przysiadł na kamieniu, bo się przy tej robocie jeszcze bardziej zasapał.

— A nie wiesz, jest-li komtur w zamku? — zapytał Jurand.

— Gdzieby zaś miał być, kiedy chory?

— Coże mu?

— Ludzie mówią, że go rycerze polscy sprali — odrzekł stary chłop...

I w głosie jego czuć było jakby pewne zadowolenie. Był poddanym krzyżackim, ale jego mazurskie serce radowało się przewagą polskich rycerzy.

Jakoż po chwili dodał:

— Hej! mocni nasi panowie, ale im z nimi ciężko.

Lecz zaraz potem spojrzał bystro na rycerza i jakby chcąc się upewnić, że nie spotka go nic złego za słowa, które mu się niebacznie wymknęły, rzekł:

— Wy, panie, po naszemu mówicie, wyście nie Niemiec?

— Nie — odrzekł Jurand — ale prowadź dalej.

Chłop wstał i począł znów iść przy koniu. Po drodze zasuwał kiedy niekiedy dłoń w kaletę, wydostawał z niej garść niemielonego żyta i wsypywał ją sobie do ust, gdy zaś zaspokoił w ten sposób pierwszy głód, począł tłómaczyć, dlaczego je surowe ziarno, chociaż Jurand, zbyt zajęty własnem nieszczęściem i własnemi myślami, nawet tego nie dostrzegł:

— Chwała Bogu i za to — mówił. — Ciężkie życie pod naszymi niemieckimi panami.

Ponakładali podatki od mlewa takie, że ubogi człek musi z plewą ziarno gryźć, jak bydlę. A gdzie żarna w chałupie znajdą, tam chłopa skatują, dobytek zagarną, ba! dzieciom i babom nie przepuszczą... Nie boją się oni ni Boga, ni księży, jako i wielborskiego proboszcza, który im to przyganiał, na łańcuch wzięli. Oj, ciężko pod Niemcem! Co tam człek ziarna między dwoma kamieniami ugniecie, to tę przygarść mąki na świętą niedzielę chowa, a w piątek tak jeść musi, jako ptacy. Ale chwała Bogu i za to, bo przyjdzie-li przednówek, to i tego nie stanie... Ryby łowić nie wolno... zwierza bić też... Nie tak, jak na Mazowszu.

W ten sposób wyrzekał krzyżacki chłop, mówiąc przez pół do siebie, przez pół do Juranda, a tymczasem minęli pustać, pokrytą utulonemi pod śniegiem bryłami wapienia i weszli w las, który w zarannem świetle wydawał się siwy i od którego bił surowy, wilgotny chłód. Rozedniało już zupełnie; inaczej trudno byłoby Jurandowi przejechać leśną drożyną, idącą nieco w górę i tak ciasną, że miejscami olbrzymi jego bojowy koń zaledwie mógł się przecisnąć wśród pni. Lecz borek skończył się wkrótce i po upływie kilku pacierzy znaleźli się na szczycie białego pagórka, którego środkiem biegł wyjeżdżony gościniec.

— To i droga — rzekł chłop — traficie teraz, panie, sami.

— Trafię — odrzekł Jurand. — Wracaj, człeku, do domu.

I sięgnąwszy ręką do skórzanej torby, przymocowanej na przedzie siodła, wydobył z niej srebrny pieniądz i podał go przewodnikowi. Chłop, przyzwyczajony więcej do razów, niż do datków z rąk miejscowych krzyżackich rycerzy, oczom prawie nie chciał wierzyć i porwawszy pieniądz, przypadł głową do strzemienia Juranda i objął je rękoma.

— O Jezusie, Maryo! — zawołał — Bóg zapłać waszej wielmożności!

— Ostawaj z Bogiem.

— Niech was Boska moc prowadzi. Szczytno przed wami.

To rzekłszy, raz jeszcze pochylił się do strzemienia i zniknął. Jurand został na wzgórzu sam i spoglądał we wskazanym mu przez wieśniaka kierunku na szarą, wilgotną oponę mgły, która zasłaniała przed nim świat. Za tą mgłą krył się ów złowrogi zamek, ku któremu popychała go przemoc i niedola. Blizko już, blizko! a potem co się ma stać i spełnić, to się stanie i spełni... Na tę myśl w sercu Juranda obok trwogi i niepokoju o Danusię, obok gotowości wykupienia jej z wrogich rąk, choćby krwią własną, zro-

dziło się nowe, niesłychanie gorzkie a nieznane mu dotychczas nigdy uczucie upokorzenia. Oto on, Jurand, na którego wspomnienie drżeli pograniczni komturowie, jechał teraz na ich rozkaz z powinną głową. On, który tylu ich zwyciężył i podeptał, czuł się teraz zwyciężonym i podeptanym. Nie zwyciężyli go wprawdzie w polu, nie odwagą i rycerską siłą, niemniej jednak czuł się zwyciężonym. I było to dla niego czemś tak niesłychanem, iż zdawało mu się, że cały porządek świata został na nice wywrócony. On jechał ukorzyć się Krzyżakom, on, który gdyby nie chodziło o Danusię, wolałby sam jeden potykać się ze wszystkiemi siłami Zakonu. Alboż nie trafiło się, że pojedyńczy rycerz, mając wybór między sromotą a śmiercią, uderzał na całe wojska? A on czuł, że może mu się przygodzić i sromota, i na myśl o tem wyło w nim serce z bólu, jak wyje wilk, uczuwszy w sobie grot.

Lecz był to człowiek, mający nietylko ciało, lecz i duszę z żelaza. Umiał łamać innych, umiał i siebie.

— Nie ruszę się — rzekł sobie — póki nie spętam tego gniewu, którym mógłbym zgubić, nie zaś wybawić dziecko.

I wraz schwycił się jakby za bary ze swojem hardem sercem, ze swoją zawziętością i żą-

dzą boju. Ktoby go widział na onem wzgórzu, we zbroi, bez ruchu, na ogromnym koniu, rzekłby, że to jakiś olbrzym, ulany z żelaza i nie poznałby, że ów nieruchomy rycerz toczy w tej chwili najcięższą ze wszystkich walk, jakie kiedykolwiek w życiu stoczył. Lecz on zmagał się z sobą póty, póki się nie zmógł i póki nie poczuł, że wola go nie zawiedzie.

Tymczasem mgły rzedły i jakkolwiek nie rozproszyły się do cna, jednakże zamajaczało w końcu w nich coś ciemniejszego. Jurand odgadł, że to są mury szczycieńskiego zamku. Na ten widok nie ruszył się jeszcze z miejsca, ale począł się modlić tak gorąco i gorliwie, jak modli się człowiek, któremu na świecie pozostało już tylko Boskie miłosierdzie.

I gdy wreszcie ruszył koniem, poczuł, że w serce poczyna mu wstępować jakowaś otucha. Gotów był teraz znieść wszystko, co go mogło spotkać. Przypomniał mu się św. Jerzy, potomek największego rodu w Kapadocyi, który znosił różne hańbiące katusze, a jednakże nietylko czci nie stradał, lecz na prawicy Bożej jest posadzon i patronem wszystkiego rycerstwa mianowany. Jurand słyszał nieraz opowiadania o jego przygodach od pątników, przybyłych z dalekich krain i wspomnieniem ich ukrzepił w sobie teraz serce.

Zwolna poczęła się w nim budzić nawet i nadzieja. Krzyżacy słynęli wprawdzie z mściwości, przeto nie wątpił, że wywrą nad nim pomstę za wszystkie klęski, jakie im zadał, za hańbę, która spadała na nich po każdem spotkaniu i za strach, w jakim przez tyle lat żyli.

Ale to właśnie dodawało mu ducha. Myślał, że Danusię porwali po to tylko, by go dostać, więc gdy go dostaną, to co im po niej? Tak! Jego skują niechybnie i nie chcąc trzymać w pobliżu Mazowsza, wyślą do jakich odległych zamków, gdzie może do końca życia przyjdzie mu jęczeć w podziemiu, ale Danusię będą woleli puścić. Choćby też wyszło na jaw, że go podstępem dostali i gnębią, nie weźmie im tego zbyt za złe ni wielki mistrz, ni kapituła, bo przecie on, Jurand, bywał istotnie ciężkim Krzyżakom i wytoczył z nich więcej krwi, niż jakikolwiek inny rycerz w świecie. Natomiast ten sam wielki mistrz możeby ich i pokarał za uwięzienie niewinnej dziewczyny, a do tego wychowanki księcia, o którego przychylność starał się wobec grożącej wojny z królem polskim usilnie.

I nadzieja ogarniała go coraz potężniej. Chwilami wydawało mu się rzeczą niemal pewną, że Danusia wróci do Spychowa, pod Zbyszkową możną opiekę... «A chłop tęgi jest — myślał — nie da ci jej nikomu ukrzywdzić». I począł przy-

pominać sobie z pewnem rozrzewnieniem wszystko, co o Zbyszku wiedział: «Bił w Niemców pod Wilnem, na pojedynkę z nimi chadzał, Fryzów, których ze stryjcem pozwali, poćwiertował, w Lichtensteina też bił, od tura dziecko bronił i tamtych czterech pozwał, którym pewnikiem nie daruje». Tu podniósł Jurand oczy ku górze i rzekł:

— Ja ją Tobie, Boże, a Ty Zbyszkowi!

I uczyniło mu się jeszcze raźniej, sądził bowiem, że skoro ją Bóg młodziankowi podarował, to przecie nie pozwoli Niemcom z siebie zadrwić, z rąk ich ją wyrwie, choćby cała potęga krzyżacka nie puszczała. Lecz potem znów jął myśleć o Zbyszku: «Ba! nietylko chłop tęgi, ale i szczery, jak złoto. Będzie jej strzegł, będzie ją miłował i daj, Jezu, dziecku, jako możesz najlepiej, ale widzi mi się, że przy nim nie pożałuje ni książęcego dworca, ni ojcowego kochania»... Na tę myśl powieki Juranda zwilgotniały nagle i w sercu zerwała mu się ogromna tęsknota. Chcialby przecie jeszcze dziecko w życiu widzieć i kiedyś, kiedyś umrzeć w Spychowie przy tych dwojgu, nie zaś w ciemnych piwnicach krzyżackich. Ale wola Boska!... Szczytno było już widać. Mury rysowały się we mgle coraz wyraźniej, blizka już była go-

dzina ofiary, więc zaczął się jeszcze pokrzepiać i tak do siebie mówić:

— Jużci, że wola Boska! Ale wieczór żywota blizki. Kilka roków więcej, kilka mniej, wyjdzie na jedno. Hej! chciałoby się jeszcze na oboje dzieci pojrzeć, ale po sprawiedliwości, to człek się nażył. Czego miał doznać, doznał, kogo miał pomścić, pomścił. A teraz co? Radziej do Boga, niż do świata, a skoro trzeba przycierpieć, to trzeba. Danuśka ze Zbyszkiem, choćby im było najlepiej, nie zapomną. Pewnie, że nieraz będą wspominać, a uradzać: gdzie też jest? żyw-li, czy też już u Boga w wiecu?... Będą przepytywać i może się dowiedzą. Łapczywi są na pomstę Krzyżacy, ale i na wykup łapczywi, Zbyszkoby nie pożałował, aby choć kości wykupić. A na mszę, to z pewnością nieraz dadzą. Uczciwe u obojga serca i kochające, za co ich, Boże i Ty, Matko Najświętsza, błogosław.

Gościniec stawał się nietylko coraz szerszy, ale się i zaludniał. Ciągnęły ku miastu wozy z drzewem i słomą. Skotarze pędzili bydło. Od jezior wieziono na saniach zmarzłą rybę. W jednem miejscu czterech łuczników wiodło na łańcuchu chłopa, widać za jakieś przewinienie na sąd, gdyż ręce miał z tyłu związane, a na nogach kajdany, które zawadzając o śnieg, ledwie pozwoliły mu się poruszać. Ze zdyszanych jego

nozdrzy i ust wychodził oddech w kształcie kłębów pary, a oni, popędzając go, śpiewali. Ujrzawszy Juranda, poczęli spoglądać na niego ciekawie, dziwiąc się widocznie ogromowi jeźdźca i konia, ale na widok złotych ostróg i rycerskiego pasa pospuszczali kusze ku ziemi na znak powitania i czci. W miasteczku było jeszcze ludniej i gwarniej, ustępowano jednak z pośpiechem zbrojnemu mężowi z drogi, ów zaś przejechał główną ulicę i skręcił ku zamkowi, który, otulony w tumany, zdawał się jeszcze spać.

Lecz nie wszystko naokół spało, a przynajmniej nie spały wrony i kruki, których całe stada wichrzyły się na podniesieniu, stanowiącem dojazd do zamku, łopocąc skrzydłami i krakząc. Jurand, podjechawszy bliżej, zrozumiał powód tego ptasiego wiecu. Oto obok drogi, wiodącej do bramy zamkowej, stała obszerna szubienica, na niej zaś wisiały ciała czterech mazurskich chłopów krzyżackich. Nie było najmniejszego powiewu, więc trupy, które zdawały się spoglądać na własne stopy, nie kołysały się, chyba wówczas, gdy czarne ptactwo siadało im na ramiona i na głowy, przepychając się wzajem, trącając w powrozy i dzióbiąc o pospuszczane głowy. Niektórzy wisielcy musieli wisieć już od dawna, gdyż czaszki ich były całkiem nagie, a nogi niezmiernie wydłużone. Za

zbliżeniem się Juranda stado zerwało się z wielkim szumem, ale wnet zawróciło w powietrzu i poczęło się sadowić na poprzecznej belce szubienicy. Jurand przejechał mimo, czyniąc znak krzyża, zbliżył się do przekopu i stanąwszy w miejscu, w którem nad bramą wznosił się most zwodzony, uderzył w róg.

Poczem zatrąbił raz drugi, trzeci i czekał. Na murach nie było żywej duszy i z za bramy nie dochodził żaden głos. Po chwili jednak ciężka, widoczna za kratą klapa, wmurowana w pobliżu zamku bramy, podniosła się ze zgrzytem i w otworze ukazała się brodata głowa niemieckiego knechta.

— *Wer da?* — spytał szorstki głos.

— Jurand ze Spychowa! — odpowiedział rycerz.

Po tych słowach klapa zamknęła się na nowo i nastało głuche milczenie.

Czas począł płynąć. Za bramą nie słychać było żadnego ruchu, tylko od strony szubienicy dochodziło krakanie ptactwa.

Jurand stał jeszcze długo, zanim podniósł róg i uderzył weń powtórnie.

Ale odpowiedziała mu znów cisza.

Wówczas zrozumiał, że trzymają go przed bramą przez krzyżacką pychę, która wobec zwyciężonego nie ma granic, dlatego, by go upo-

korzyć, jak żebraka. Odgadł też, że przyjdzie mu tak czekać może aż do wieczora, albo i dłużej. Więc w pierwszej chwili zawrzała w nim krew: chwyciła go nagle chęć zsiąść z konia, podnieść jeden z głazów, które leżały przed przekopem i rzucić nim w kratę. Tak byłby w innym razie uczynił i on i każdy inny mazowiecki albo polski rycerz i niechby potem wypadli z za bramy bić się z nim. Ale wspomniawszy, po co tu przybył, opamiętał się i powstrzymał:

— Zalim się nie ofiarował za dziecko? — rzekł sobie w duszy.

I czekał.

Tymczasem w wyzębieniach murów poczęło coś czernieć. Ukazywały się futrzane nakrycia głów, ciemne kapice i nawet żelazne blachy, z pod których spoglądały na rycerza ciekawe oczy. Przybywało ich z każdą chwilą, bo już też ten groźny Jurand, wyczekujący samotnie pod krzyżacką bramą, był dla załogi nie byle widowiskiem. Kto go dawniej ujrzał przed sobą, ujrzał śmierć, a teraz można było patrzeć na niego bezpiecznie. Głowy podnosiły się coraz wyżej, aż wreszcie wszystkie wyzębienia bliższe bramy pokryły się knechtami. Jurand pomyślał, że zapewne i starsi muszą na niego spoglądać przez kraty okien w przybramnej wieży i pod-

niósł wzrok ku górze, ale tam okna powycinane były w głębokich murach i patrzeć przez nie było niepodobna, chyba w dal. Zato na blankach czereda, która z początku spozierała na niego w milczeniu, poczęła się odzywać. Ten i ów powtarzał jego imię, tu i ówdzie ozwały się śmiechy, ochrypłe głosy pokrzykiwały jak na wilka, coraz głośniej, coraz zuchwalej, a gdy widocznie nikt nie przeszkadzał ze środka, poczęto wreszcie miotać na stojącego rycerza śniegiem.

Ów, jakby mimowoli, ruszył przed siebie koniem; wówczas na jedną chwilę bryły śniegu przestały lecieć, głosy ucichły, a nawet i niektóre głowy poznikały za murami. Groźne musiało być istotnie Jurandowe imię. Wnet jednak najtchórzliwsi opamiętali się, że dzieli ich od strasznego Mazura rów i mur, więc znów grube żołdactwo poczęło miotać nietylko bryłkami śniegu, ale lodu i nawet gruzu i kamyków, które z brzękiem odbijały się od zbroi i kropierza, pokrywającego konia.

— Ofiarowałem się za dziecko — powtarzał sobie Jurand.

I czekał. Przyszło południe, mury opustoszały, gdyż knechtów odwołano na obiad. Nieliczni, ci, którym przypadło stróżować, jedli jednak na murach, a po spożyciu strawy zaba-

wiali się znowu ciskaniem na głodnego rycerza ogryzionych gnatów. Poczęli też przekomarzać się z sobą i zapytywać się wzajem, który podejmie się zejść i dać mu po karku pięścią, albo drągiem oszczepu. Inni, wróciwszy z obiadu, wołali na niego, że jeśli zmierziło mu się czekać, to się może powiesić, gdyż na szubienicy jest jeden wolny hak z gotowym powrozem. I wśród takich szyderstw, wśród nawoływań, wybuchów śmiechu i przekleństw, zbiegały popołudniowe godziny. Krótki zimowy dzień chylił się stopniowo ku wieczorowi, a most wisiał wciąż w powietrzu i brama pozostawała zamknięta.

Lecz pod wieczór wstał wiatr, rozwiał mgły, oczyścił niebo i odsłonił zorze. Śniegi uczyniły się modre, a później fioletowe. Nie było mrozu, ale noc zapowiadała się pogodna. Z murów zeszli znów ludzie, prócz straży, kruki i wrony odleciały od szubienicy ku lasom. Wreszcie poczerniało niebo i cisza nastała zupełna.

— Nie otworzą przed nocą bramy — pomyślał Jurand.

I na chwilę przeszło mu przez głowę, by nawrócić ku miastu, ale zaraz porzucił tę myśl. «Chcą tego, bym tu stał — mówił sobie w duszy. — Jeśli nawrócę, jużci nie puszczą mnie do dom, jeno otoczą, pojmają, a potem rzekną,

że mi nic nie powinni, bo mnie siłą wzięli, a choćbym zaś po nich przejechał, to i tak muszę wrócić...»

Niezmierna, podziwiana przez obcych kronikarzy wytrzymałość polskich rycerzy na chłód, głód i trudy nieraz pozwalała im dokonywać czynów, na które nie mogli się zdobyć bardziej zniewieściali ludzie z Zachodu. Jurand zaś posiadał tę wytrzymałość w większej jeszcze od innych mierze; więc choć głód począł mu już od dawna skręcać wnętrzności, a zamróz wieczorny przeniknął przez pokryty blachami kożuch, postanowił czekać, choćby miał skonać pod tą bramą.

Nagle jednak, nim jeszcze zapanowała zupełna noc, usłyszał za sobą chrzęst kroków na śniegu.

Obejrzał się: szło ku niemu od strony miasta sześciu ludzi, zbrojnych we włócznie i halabardy, w środku zaś między nimi szedł siódmy podpierając się mieczem.

— Może im bramę otworzą i z nimi wjadę — pomyślał Jurand. — Siłą nie będą mnie chcieli brać, ni zabić, bo ich za mało; gdyby wszelako uderzyli na mnie, to znak, że nie chcą niczego dotrzymać i wtedy — gorze im!

Tak pomyślawszy, podniósł stalowy topór, wiszący mu przy siodle, tak ciężki, że za ciężki

nawet na dwie ręce zwykłego męża — i ruszył ku nim koniem.

Lecz oni nie myśleli na niego uderzać. Owszem, knechtowie wbili zaraz w śnieg tylca włóczni i halabard, że zaś noc nie była jeszcze całkiem ciemna, więc Jurand spostrzegł, że osady drżą im jednak nieco w ręku.

Ow zaś siódmy, który wydawał się starszym, wyciągnął spiesznie przed siebie lewe ramię i zwróciwszy dłoń do góry palcami, ozwał się:

— Wyście, rycerzu, Jurand ze Spychowa?

— Jam jest...

— Chcecie-li wysłuchać, z czem mnie przysłano?

— Słucham.

— Silny i pobożny komtur von Danveld każe wam powiedzieć, panie, że póki nie zsiądziecie z konia, brama nie będzie wam otworzona.

Jurand pozostał chwilę bez ruchu, następnie zsiadł z konia, po którego w tej chwili poskoczył jeden z włóczników.

— I broń ma nam być oddana — ozwał się znów człowiek z mieczem.

Pan ze Spychowa zawahał się. Nuż potem uderzą na bezbronnego i zadżgają go, jak zwie-

rzę? nuż chwycą i wtrącą do podziemia? Lecz po chwili pomyślał, że gdyby tak miało być, toby ich jednak przysłano więcej. Bo gdyby się na niego mieli rzucić, zbroi od razu na nim nie przebodą, a wówczas on mógłby wydrzeć broń pierwszemu z brzega i wytracić wszystkich, nimby nadbiegła pomoc. Znali go przecie.

— I choćby też — rzekł sobie — chcieli wytoczyć ze mnie krew, toć-żem ja nie po co innego tu przybył.

Tak pomyślawszy, rzucił naprzód topór, następnie miecz, następnie mizerykordyę — i czekał. Oni zaś chwycili to wszystko, poczem ów człowiek, który do niego przemawiał, oddaliwszy się na kilkanaście kroków, zatrzymał się i począł mówić zuchwałym, podniesionym głosem:

— Za wszystkie krzywdy, któreś Zakonowi wyrządził, masz z rozkazu komtura przywdziać na się ów zgrzebny wór, który ci zostawiam, przywiązać u szyi na powrozie pochwę od miecza i czekać w pokorze u bramy, póki ci łaska komtura nie rozkaże jej otworzyć.

I po chwili Jurand pozostał sam w ciemności i ciszy. Na śniegu czerniał przed nim pokutniczy wór i powróz, on zaś stał długo, czując, że mu się w duszy coś rozprzęga, coś ła-

mie, coś kona i mrze i że oto po chwili nie będzie już rycerzem, nie będzie już Jurandem ze Spychowa, lecz nędzarzem, niewolnikiem bez imienia, bez sławy, bez czci.

Więc upłynęły jeszcze długie chwile, nim zbliżył się do pokutniczego woru i począł mówić:

— Jakoż mogę inaczej postąpić? Ty, Chryste, wiesz: dziecko niewinne uduszą, jeśli nie uczynię wszystkiego, co mi każą. I to też wiesz, że dla własnego żywota tegobym nie uczynił! Gorzka rzecz hańba!... gorzka!... ale i Ciebie przed śmiercią hańbili. A no, w imię Ojca i Syna...

Poczem pochylił się, wdział na się wór, w którym były poprzecinane otwory na głowę i ręce, następnie u szyi zawiesił na powrozie pochwę od miecza — i powlókł się przed bramę.

Nie zastał jej otwartej, ale teraz było mu już wszystko jedno, czy mu ją prędzej, czy później otworzą. Zamek pogrążył się w milczeniu nocy, straże tylko obwoływały się kiedy niekiedy po narożnikach. W wieży przybramnej świeciło wysoko jedno okienko, inne były ciemne.

Godziny nocy płynęły jedna za drugą, na niebo wzbił się sierp księżyca i rozświecił posępne mury zamku. Cisza uczyniła się taka, że

Jurand mógłby słyszeć bicie własnego serca. Ale on zdrętwiał i skamieniał całkiem, jakby z niego wyjęto duszę i nie zdawał już sobie sprawy z niczego. Została mu tylko jedna myśl, że przestał być rycerzem, Jurandem ze Spychowa, ale czem jest — nie wiedział... Chwilami także majaczyło mu się coś, że wśród nocy, od tych wisielców, których z rana widział, idzie ku niemu cicho po śniegu śmierć...

Nagle drgnął i rozbudził się zupełnie:

— O Chryste miłosierny! co to jest?!

Z wysokiego okienka w przybramnej wieży ozwały się jakieś zaledwie z początku dosłyszalne dźwięki lutni. Jurand, jadąc do Szczytna, był pewien, że niema Danusi w zamku, a jednak ten głos lutni po nocy wzburzył w nim w jednej chwili serce. Wydało mu się, że on te dźwięki zna i że to nie kto inny gra, tylko ona — jego dziecko! jego kochanie... Więc padł na kolana, złożył ręce do modlitwy i dygocąc, jak w gorączce, słuchał.

A wtem nawpół dziecinny i jakby niezmiernie stęskniony głos począł śpiewać:

Gdybym ci ja miała
Skrzydłeczka, jak gąska,
Poleciałabym ja
Za Jaśkiem do Śląska.

Jurand chciał odezwać się, wykrzyknąć kochane imię, ale słowa uwięzły mu w gardle, jakby je ścisnęła żelazna obręcz. Nagła fala bólu, łez, tęsknoty, niedoli wezbrała mu w piersiach, więc rzucił się twarzą w śnieg i jął w uniesieniu wołać ku niebu w duszy, jakby w dziękczynnej modlitwie:

— O Jezu! dyć słyszę jeszcze dziecko! o Jezu!!...

I szlochanie poczęło targać jego olbrzymiem ciałem. W górze tęskny głos śpiewał dalej wśród niezmąconej nocnej ciszy:

Usiadłabym ci ja
Na śląskowskim płocie:
Przypatrz się, Jasieńku,
Ubogiej sierocie!...

Rankiem gruby, brodaty knecht niemiecki począł kopać w biodro leżącego przy bramie rycerza.

— Na nogi, psie!... Brama otwarta i komtur każe ci stanąć przed sobą.

Jurand zbudził się, jakby ze snu. Nie chwycił knechta za gardło, nie skruszył go w żelaznych rękach, twarz miał cichą i niemal pokorną; podniósł się i nie mówiąc ni słowa, poszedł za żołdakiem przez bramę.

Zaledwie jednak ją przeszedł, gdy ozwał się za nim zgrzyt łańcuchów i most zwodzony począł podnosić się do góry, w samej zaś bramie spadła ciężka żelazna krata...

KONIEC TOMU PIĘĆDZIESIĄTEGO DRUGIEGO.

...NDING LIST MAR 15 19..

LP
S5724
Sienkiewicz, Henryk
Pisma.
v.52
486110
Storage
DATE.
NAME OF BORR...

University of Toronto
Library

DO NOT
REMOVE
THE
CARD
FROM
THIS
POCKET

Acme Library Card Pocket
LOWE-MARTIN CO. LIMITED